MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 51. WARSZAWA, 1 LISTOPADA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

NOWY KONFLIKT W MANDŻURJI

OSTATNIE wypadki na Dalekim Wschodze dają pole do różnych komentarzy, nie zawsze dokładnych. Jedno z naszych pism ilustrowanych zamieściło n. p. komentarz do ilustracyj, — w którym mówi ni mniej ni więcej, że Japonja będzie musiała ograniczyć swoją akcję w Mandżurji, bo grozi jej wystąpienie Ameryki i Sowietów, które popierają Chiny.

Łatwo będzie uniknąć tego rodzaju poglądów, kiedy przypomnimy sobie nieco historji.

Celem polityki rosyjskiej na Dalekim Wschodzie było uzyskanie hegemonji w Chinach. Oczywiście było to bardzo niebezpieczne dla Japonji. Stąd powstał konflikt między temi państwami, który doprowadził do wojny 1904/5 r.

Po ukończeniu wojny oba państwa doszły jednak do przekonania, iż leży w ich interesie na przyszłość nietylko utrzymać stosunki pokojowe, ale nawet porozumieć się.

Jednemu i drugiemu zależało bowiem na tem, by żadne inne państwo nie zdobyło wpływu, ani też jakichś praw specjalnych czy terytorjów w Chinach. Otóż jeszcze w końcu XIX w. wielkie mocarstwa zaczęły rozwijać w pewnych częściach Chin specjalnie ożywioną działalność gospodarczą, budować koleje, zakładać i planować kopalnie, następnie wydobywać od rządu chińskiego zobowiązania nie pozbywania się tych obszarów, wreszcie zawierać między sobą porozumienia, na mocy których zobowiązały się one nawzajem powstrzymać się od wszelkiej ekspansji na pewnych terytorjach. W ten sposób całe Chiny zostały podzielone na sfery wpływów, które przygotowywały, oczywiście, przewidywany rozbiór cesarstwa chińskiego.

Na czele tych państw stały Niemcy i Rosja. Stany Zjedn. zajęły osobne stanowisko, ogłaszając, że będą bronić zasady nietykalności Chin: równych praw dla wszystkich we wszystkich ich częściach.

Nie przeszkadzało to jednak finansistom amerykańskim, w porozumieniu z angielskimi, wystąpić z planami ekspansji gospodarczej w Mandżurji i budowy tam własnych linij kolejowych. Projekty te godziły już bezpośrednio w interesy Rosji i Japonji.

Wobec powyższego oba te państwa dochodzą do przekonania, iż leży w ich interesie zbliżenie się i współdziałanie na Dalekim Wschodzie.

Przedewszystkiem w umowie z 1907 roku oba państwa rozgraniczyły swe sfery wpływów w Mandżurji i Mongolji. W traktacie w Portsmouth Rosja wycofała się z Mandżurji Południowej pod przymusem, obecnie potwierdzała to z własnej woli.

W roku 1910 Japonja i Rosja podpisały drugi układ, w którym nietylko uznawały jeszcze raz wzajemnie swoje prawa w Mandżurji i Mongolji, ale także zobowiązały się do ewentualnej wzajemnej obrony tego *status quo* w razie, gdyby był zagrożony.

Porozumienie to dotyczyło jedynie Mandżurji i Mongolji.

W roku 1916 jednak, w czasie wojny, Rosja i Japonja podpisały tajny traktat (ogłoszony po rewolucji rosyjskiej), którego art. 1 powiadał między innemi: obie strony uznając, że leży w ich żywotnym interesie niedopuszczenie, by Chiny wpadły pod panowanie trzeciego mocarstwa... zobowiązują się wzajemnie za każdym razem, gdyby wymagały tego okoliczności, porozumieć się... w celu podjęcia odpowiednich kroków dla niedopuszczenia do możliwości powstania takiego stanu rzeczy.

Tutaj zatem oba państwa mają na widoku współdziałanie już w stosunku do całego problemu chińskiego.

Jakie to „trzecie państwa" mogły zdobyć panowanie nad Chinami? Są niemi Anglja, główny współzawodnik Rosji w Azji, i Stany Zjednoczone, rywal Japonji w Chinach i na Pacyfiku.

W czasie wojny światowej mocarstwa sprzymierzone zajęte są walką, Japonja ma wolną rękę w Chinach. Stara się też wyzyskać to, zdobyć jaknajwiększe wpływy, rozbudować swoje interesy.

Zwłaszcza Mandżurja jest przedmiotem szczególnych starań. W układach, uzyskanych od Chin pod grozą represyj zbrojnych (w r. 1915), otrzymała ona szereg dalszych koncesyj kolejowych i ekonomicznych oraz specjalnych przywilejów, które wzmacniały jej stanowisko. Utrata Mandżurji i Mongolji przez Chiny wydawała się rzeczą nieuniknioną. Według wszelkiego prawdopodobieństwa przybrałaby ona, wobec układów z r. 1911, 1912 i 1916, postać aneksji tych prowincyj przez Rosję i Japonję, albo rodzaju wspólnego protektoratu.

Tymczasem wybuchła rewolucja rosyjska i Rosja na kilka lat przestała być czynnikiem polityki światowej. Po ukończeniu wojny Japonja znalazła się sama wobec Stanów Zjedn. Ale nietylko wobec Stanów samych, gdyż Anglja również staje po ich stronie.

Coprawda Traktat Wersalski przyjął wszystkie żądania Japonji, ale Stany Zjednoczone rozpoczęły z nią teraz cichą walkę. Zakończyła się ona na konferencji waszyngtońskiej w 1922 roku, kiedy Japonja pod naciskiem Stanów Zj. i Anglji musiała zrzec się całego szeregu praw, uzyskanych w Chinach, i ograniczyć swoją flotę wojenną. Nietylko rozwój jej interesów był zahamowany, ale całe jej stanowisko mocarstwowe zostało zagrożone. Niebezpieczeństwo zaś zagrażało nietylko z za oceanu. Na terenie chińskim uzyskują przewagę koterje i grupy, nastrojone wrogo przeciw Japonji. Zaczynają się bojkoty towarów japońskich, obalenie przywilejów Japonji znajduje się na czele chińskich rewindykacyj narodowych. Zaś Japonja nie może się zdobyć na energiczniejszą kontrakcję ze względu na Stany Zjednoczone, które są mocno zdecydowane sprzeciwić się temu, ewentualnie w najostrzejszej formie.

Takie jest położenie, kiedy w r. 1924 zaznacza się powrót Rosji do polityki na Dalekim Wschodzie.

W grudniu 1924 r. Sowiety podpisały z wielkorządcą Mandżurji Czang-Tso-Linem umowę, mocą której Chiny przyznawały im w Mandżurji Północnej wszystkie te uprawnienia, z jakich Rosja korzystała przed rewolucją.

Związek Sowiecki nietylko pod tym względem zajął stanowisko Rosji carskiej.

W parę tygodni po układzie z Chinami, podpisano (w styczniu 1925 r.) układ z Japonją, w którym rząd japoński uznał rząd sowiecki, ten ostatni zaś prawa nabyte przez Japonję na Dalekim Wschodzie w traktatach, zawartych poprzednio z Rosją carską; Japonja ze swej strony uznała układ Sowietów z Chinami i prawa nowonabyte przez nie, lub też uznane przez Chiny. Oprócz tego Japonja otrzymała szereg koncesyj górniczych i leśnych na Sachalinie i Kamczatce oraz w Syberji Wschodniej.

W ten sposób polityka sowiecka, powracając na Pacyfik, stanęła na tej samej płaszczyźnie, na jakiej znajdowała się przed wojną i rewolucją polityka carska.

Od tej chwili należy uważać za zrekonstruowane uznanie przez Japonję rosyjskich wpływów w Mongolji Zewnętrznej i Północnej Mandżurji, oraz uznanie przez Sowiety interesów japońskich w Mandżurji Południowej.

Stosunki, które panują od tej chwili pomiędzy obu temi państwami, należy uznać nietylko za poprawne, ale nawet za przyjazne. W każdym razie Japonja podówczas jest państwem, które utrzymuje z Sowietami najlepsze stosunki z pośród wszystkich innych.

Taki stan rzeczy był spowodowany tem, iż Rosja zdawała sobie dobrze sprawę z tego, że wszelka akcja w Chinach nie jest do pomyślenia wbrew Japonji, stanowisko wrogie względem niej może ją rzucić w ramiona Anglji, podczas gdy w sytuacji, wytworzonej przez traktat w 1925 r., Japonja nie stanie się czynnikiem, który wystąpiłby na czoło akcji przeciw wpływom sowieckim i przeciw wewnętrznym zamieszkom w Chinach, o ileby takie powstały w związku z akcją Moskwy.

Zanotujmy sobie, iż pomimo wszelkich różnic i przeciwieństw, dzielących oba państwa, zwłaszcza pomimo tego, że hasła głoszone przez jedno i drugie są tak niezgodne, w gruncie rzeczy, stosunek ich do problemu chińskiego jest bardziej zbliżony do siebie, niż stosunek innych państw. Jak Japonja nie jest tu najniebezpieczniejszym czynnikiem dla Sowietów, tak te ostatnie nie są najniebezpieczniejszym czynnikiem dla Japonji.

Nie oznacza to naturalnie, żeby konflikt między niemi był niemożliwy.

Ale nie ulega wątpliwości, iż każde z nich zosobna, a może i razem, wystąpiłyby przeciw zagrożeniu swych praw w Mandżurji przez kogokolwiekbądź.

Upłynęło parę lat od układu 1925 r., a takim czynnikiem okazała się polityka nowych Chin. Planowa i systematyczna działalność Czang-Siao-Langa, syna i następcy Czang-Tso-Lina, szła w tym kierunku, żeby o ile możności zwalczać i uszczuplać wpływy sowieckie i japońskie w Mandżurji. Nowy gubernator tego kraju, robiąc konieczne koncesje na rzecz regjonalizmu mandżurskiego, stał wszakże na stanowisku jedności narodowej Chin i lojalności względem rządu centralnego. Ponadto jednak podzielał zapatrywania polityczne tego ostatniego, które dadzą się streścić: starając się o utrzymanie dobrych stosunków z Ameryką, walczyć z wpływami sowieckiemi i komunizmem oraz z hegemonją Japonji w Mandżurji.

Rząd mukdeński zatem przystępuje do budowy szeregu kolei, które mają na celu zniszczenie kolei japońskich. Buduje nowy port, który ma robić konkurencję portom japońskim. Podobnie stara się zwalczać interesy sowieckie w kolei zachodnio-chińskiej.

Taka polityka groziła naturalnie konfliktami, które niebawem nastąpiły.

W r. 1929, na skutek aresztowania przez policję chińską szeregu urzędników sowieckich kolei zachodnio-chińskiej, rząd sowiecki interwenjował zbrojnie, zmuszając wojska mandżurskie do kapitulacji.

Obecnie robi to samo Japonja.

Być może, iż okupacja Mandżurji Południowej ma na celu wymuszenie na Chinach jakichś dodatkowych gwarancyj czy ustępstw. Być może, że ma ona na widoku jakieś inne cele. Wiadomości o powstaniu na tym terenie paru rządów prowincjonalnych, które głoszą niezależność od Chin, wskazywałoby na zamiary japońskie, dążące do zmiany stanu prawnego Mandżurji. W każdym razie przez swoje

wystąpienie wskazała ona, jak bardzo zależy jej na utrzymaniu się tam. Jest to zupełnie zrozumiałe, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że inwestycje japońskie w tych prowincjach sięgają półtora miljarda dolarów. Dochody z tych wkładów stanowią ważną pozycję w tak czułym i z takim wysiłkiem zrównoważonym bilansie płatniczym Japonji. Słusznie powiedział jeden z japońskich mężów stanu, że Japonja nie może żyć bez Mandżurji.

Chiny bez niej żyć mogą, ale nie myślą się jej wyrzec. Jakkolwiekby się zakończył obecny zatarg, nigdy odzyskanie praw suwerennych w Mandżurji nie przestanie być naczelnym punktem chińskich haseł narodowych. Pokaźna ilość krwi, przelana w walkach o nią, zapewnie jeszcze nieraz wzrośnie w przyszłości.

Tak samo nigdy nie da spokojnie spać Stanom Zjednoczonym cień Cesarstwa Japońskiego, w tak niewygodny sposób zasłaniającego im widok na zachodni Pacyfik i Chiny.

Jeżeli chodzi o Amerykę, moment dzisiejszy jest dla Japonji niezwykle przyjazny. Niepewna sytuacja wewnętrzna w Stanach Zjednoczonych krępuje ich inicjatywę w bardzo widoczym stopniu. Wojna, któraby mogła przynieść im definitywne zwycięstwo, jest dla nich w tej chwili niemal nie do pomyślenia.

Co do Sowietów, dotąd zachowują one niewzruszony spokój. Taki sam, jaki zachowała Japonja w czasie ich interwencji w 1929 r.

Zwrócić tu trzeba na jedno uwagę: wojska japońskie strzegły się pilnie przed wkroczeniem w obręb sfery wpływów rosyjskich, nie obsadziły kolei wschodnio-chińskiej, nie zajęły Charbina.

Pewno, że konflikt z Sowietami nie jest wykluczony. Ale jest znacznie mniej prawdopodobny, niż konflikt z Ameryką. Byłby wielkim błędem i jednej i drugiej strony.

Dla Sowietów mianowicie klęska Japonji ma takie znaczenie, że byłaby ona równoznaczna ze zwycięstwem ich najgorszego wroga, obecnego rządu chińskiego. Wtedy to, może w innem znaczeniu, ale nie mniej w sposób tak samo niepomyślny i dla nich i dla Japonji, urzeczywistniłoby się to, co przewidywał tajny układ japońsko-rosyjski z 1916 r.: Chiny wpadłyby pod panowanie czynnika, wrogiego interesom ich obu.

Węzeł, który je połączył wówczas, pozostaje dziś w swej mocy.

M. A.

MYŚL W OBCĘGACH

Metaforyka tytułu odrazu wprowadza w styl dziełka, obiecując mowę obrazową — ale więcej może zachęciłby do lektury sam temat ostatniego pisemka p. Stanisława Mackiewicza. Zbiorek artykułów, wydany pod powyższym tytułem[1]), streszcza wrażenia, wyniesione przez autora z kilkotygodniowej wycieczki do Rosji Sowieckiej. Gdy p. M. pisywał o narodach zachodnich, wydawało się nieraz, iż zna jeden tylko sposób myślenia — rosyjski; ale oto okoliczność, obniżająca wartość poprzednich studjów, tu gwarantowałaby — poniekąd — szczególną kompetencję. Książeczka byłaby nawet bezcenna, gdyby zapewnienie autora: „Piszę prawdę, jedynie prawdę, wyłącznie prawdę“ (s. 42), — dane, ma się rozumieć, w dobrej wierze i szczerej intencji, — można było uważać za coś innego, niż zapowiedź braku krytycyzmu. Wierzymy oczywiście podróżnikowi, gdy opowiada o poszczególnych faktach: tam był głupi dyrektor muzeum, tam w całym magazynie tylko trzy pary śniegowców, a w Niżnim Nowogrodzie ktoś sprzedawał kromkę chleba na ulicy. Chodzi nie o to, lecz o bezkrytyczność uogólnień. P. Mackiewicz uznał, że naród rosyjski, jako istota polityczna, nie ma żadnych określonych, trwalszych właściwości. Bezład zewnętrzny poczytał za najgłębszą dziś prawdę o Rosji „...poszukiwanie stałych, statycznych elementów w dzisiejszej Rosji Sowieckiej jest tem samem, czem byłoby mierzenie żelaznym metrem wysokości drewnianej chałupy, objętej płomieniem pożaru od pierwszej do ostatniej belki“ (s. 16). Lecz w jakiż sposób Rosja potrafiła tak zażartować z socjologów? Oto wszędzie: na stacjach, w biurach, w salach szkolnych etc. wystawiła na pokaz rewolucyjne afisze, hasła, odezwy, transparenty i inne oznaki postępującego przewrotu. Tak. Czy jednak podobne przejawy zorganizowanej akcji propagandowej upoważniają do takich wyroków o społeczeństwie? Toż publicysta zagraniczny, zwiedzający Polskę, a ufający tylko prasie rządowej, musiałby wnioskować, że społeczeństwo jest bez fizjognomji, że wszystko wciąż topi się w ogniu pomajowej rewolucji. Inny badacz, oszołomiony orgją reklam np. w Anglji, z równą logiką uznałby, iż niemasz nic stałego w charakterze Anglika, iż rządzą wszechwładnie kaprysy nowoczesnego kapitalizmu, — podobnie jak w Sowdepji „tym codziennym rewolucyjnym haszyszem społeczeństwo codzień jest histeryzowane“ (s. 15)... Tylko jaką wartość miałyby takie opinje podróżników, nawet w najlepszej wierze wydane?

Żywsze poczucie śmieszności samo już zaostrzyłoby znacznie u publicysty jego zmysł do porównań. Wówczas trudnoby może upatrywać specjalną odrębność wschodniego sąsiada w tem, że tam sądy „sądzą nie według suchej normy prawa, lecz według dynamiki rewolucyjnej“ (s. 98). Przecież i na zachód od Sowietów znany jest taki mało suchy sposób postępowania. O głębsze zagadnienie potrącamy, gdy chodzi o istotę kontrastu między bolszewją, a światem kapitalizmu. P. M. uwidocznił swą tezę już w tytule książeczki. Mianowicie w Bolszewji ustalił się typ „człowieka, który... przedewszystkiem ma myśl trzymaną w obcęgach. Człowieka trzymanego w najgorszej katordze, bo katordze myśli“ (s. 179). Gdy tymczasem my — „myślimy swobodnie, niezależnie, bez narzuconej na mózg czapki żelaznej“ (s. 151). „U nas zaczyna się swobodne życie swobodnego człowieka“ (s. 154). Nie chodzi oczywiście o to, że w Polsce można swobodnie redagować „Słowo“, czy inne pisma sanacyjne, — nie chodzi bowiem o ironję, łatwą nie z naszej winy. Jeśli zdania powyższe uważamy za naiwne, to wogóle nie dlatego,

[1]) „Myśl w obcęgach. Studja nad psychologją społeczeństwa sowietów“. Warszawa—1931. Nakładem F. Hoesicka.

że w różnych krajach europejskich cenzura lub samowola administracyjna ścieśnia piękną „swobodę myślenia, pisania, sztuki“ (s. 159), lecz głównie dlatego, że naiwne jest samo wyobrażenie o tak znacznej swobodzie umysłowej Europejczyka. Rzecz w tem, że nie czujemy więzów cywilizacji, w której wyrośliśmy, a za „tyranję“ uważamy władztwo cywilizacji obcej. Prawdziwy kontrast zachodzi między cywilizacją, a cywilizacją, a nie między „swobodą“, a despotją — choć, ma się rozumieć, i pod względem ilości stosowanego przymusu zewnętrznego duże są różnice np. między Anglją, a Bolszewją. Lecz w każdym razie obraz (jeśli to obraz) myśli ściśniętej obcęgami nie bardzo jest sensowny, jeśli ma specjalnie odróżniać umysłowość bolszewicką od wyhodowanej w ustroju kapitalistycznym. Charakteryzuje on zato nastawienia umysłowe publicystów, którzy nie zdają sobie dostatecznie sprawy, jak niezależna od rosyjskiej jest polska cywilizacja w prawej swej istocie, jak śmieszna jest tendencja zohydzania Rosji (bolszewickiej, czy carskiej), gdy wszelkie możliwe pochwały dla Kremlina nie zmienią naszego poczucia, że Wawel symbolizuje coś nieskończenie wyższego... A poczucie to powinno pozwolić Polakowi na dużo objektywizmu...

Tak krucha jest zatem teza centralna książeczki. Tezy poboczne? O bezładzie bolszewickim pisze autor w sposób bezładny. Nie jest to jakaś dziwna mimikra stylistyczna, lecz objaw nieuregulowania myśli. W ważnych kwestjach wypowie autor sprzeczne, a stanowcze opinje. Czytamy więc (s. 107, podobnie s. 169): „...70 do 80% całego społeczeństwa, całego narodu żywi do Sowietów wyraźną, otwartą, rozpaczliwą nienawiść.. nienawiść bezsilną“. A tymczasem (s. 163): — „Samo istnienie tego olbrzymiego państwa, które d o b r o w o l n i e wije się w męczarniach nędzy, jest dowodem...“ — czegoś innego z pewnością. W przeciwnym razie— możemy zapytać z autorem: — „skądżeby się wzięło to zjawisko 160 miljonów ludzi, żyjących d o b r o w o l n i e w nędzy?“ I jakżeby wytłumaczyć, że — zdaniem autora — cała młodzież do 30 roku życia,— a więc większość społeczeństwa — jest fanatycznie bolszewicka?

Gdy polityka w dziełku sama się zlikwidowała, cóż zostaje? Trochę „złotych myśli“. czasem naprawę oryginalnych — jak np. powiedzenie:

„Nacjonalizmem nazywam doktrynę, że wystarczy mieć odrębny język i etniczną wspólność, aby tworzyć samodzielne państwo“ (s. 145)“

— czasem zaś oryginalnych tylko w mniemaniu autora — jak to zwierzenie, wydrukowane tłustym drukiem (s. 177):

„Jest to mój osobisty pogląd... Dzielę tę psychologję (polityczną) na szlachecko - militarną i mieszczańsko - kupiecką...“

Zostają dalej kartki reportażu — wrażenia optyczne, zakomunikowane stylem niedbałym a żywym, na wzór rozmowy w trzęsącym autobusie. Widać, że piszący wyobraźnię ma tuż nad papierem, a z niej spuszcza na arkusz metafory, niezawsze fortunne,—

[Np. co sądzić o tej: „Jak kwiaty podane artystce, tak krew przelana w związku z jakąś ideologją zachęca i pobudza“ (s. 102)?]—

— ale zawsze na czas gotowe, tak, że nigdy nie spóźnią toku myśli. Dzięki kartkom reportażu książeczka nie należy do rodzaju literatury nudnej. Kartki polityczne zachęcają do podjęcia studjów od nowa — składają się w sumie na wrażenie *carte blanche*, nie nowe przy kontakcie z literaturą przedmiotu.

W. J. C.

FILANTROPJA W DAWNEJ POLSCE

W chwili, gdy zagadnienia opieki społecznej, pomocy dla głodnych i pozbawionych pracy, stają się coraz wyraźniej najważniejszą i najpilniejszą sprawą w dobie obecnego kryzysu, nie od rzeczy będzie przypomnieć garść szczegółów, dotyczących sposobów zwalczania podobnych trudności za czasów dawnej Rzeczypospolitej (Red.).

MAŁO jest źródeł znanych o fundacjach pobożno-religijnych królów i panów polskich, które pokrywały całą Polskę. Fundatorowie, przez pokorę chrześcijańską, nie ogłaszali nieraz swoich czynów w tym względzie, a kronikarze zamało znali archiwa prywatne, i wymieniali tylko te fundacje, których ślad w prawodawstwie oznaczony został. Ilość kościołów i klasztorów zakonnych, z których dotąd pozostały mury lub ruiny na przestrzeni ziem dawnej Rzeczpospolitej, zdumiewa czytelnika, choćby w jednem rzadkiem a pięknem dziele Sobieszczańskiego p. t. „Architektura w Polsce“. „Statut Koronny z roku 1532” (*V. L.*) powiada: „Dobra kościelne, dla chwały Boskiej i opatrzenia ludzi ubogich są przeznaczone“.

Ponieważ zakony, wraz z wprowadzeniem chrześcijaństwa, były czas dłuższy jedynemi ogniskami nauki i oświaty w Polsce, więc już najpierwsi królowie hojnie je uposażali. — „Dzieje prawa Kościoła Polskiego“ księdza Teodora Ostrowskiego, (wyd. z roku 1793) — wspominają o nadaniach dla klasztorów: Mieczysława I, Bolesława Chrobrego, Bolesława Śmiałego, Kazimierza I oraz książąt Mazowieckich i Wielkopolskich. Sieciech, około roku 1010, klasztor przez Bolesława Krzywoustego fundowany, opatrzył dwunastu wioskami. Sławny jest Piotr Dunin, wielkorządca Wielkopolski, który około roku 1139 — wystawił własnym kosztem 40 kościołów i klasztorów. Słynął także z hojności, jako fundator klasztorów, Władysław Odonicz, synowiec Władysława Laskonogiego.

Król Kazimierz Wielki, oprócz wielu kościołów, założył w Krakowie pierwszy w Polsce szpital na Stradomiu, i stąd ulica Szpitalna nazwę swą otrzymała. Jan Olbracht był troskliwym opiekunem biednych i fundował dla nich przytułki. W czasie ośmioletniego swego panowania, wydał polecenia magistratom miejskim i proboszczom po wsiach, aby prawdziwie ubogich „oznaczali pewnemi znamionami“, a żebrzących z hultajstwa oddawali w ręce starostów, do ciężkich robót przy sypaniu fortec przeciw Turkom. (Statut Jana Olbrachta 1496 r. *V. L. De Laicis*).

Statut ten, na sejmie koronacyjnym Zygmunta III odnowiony, grozi karą stu grzywien sądom grodzkim i miejskim, egzekucji jego nie pilnującym.

Chociaż Władysław Jagiełło hojny był we względzie fundacyj pobożnych i filantropijnych, Jad-

wiga prześcignęła go w ilości dobroczynnych zakładów, fundowanych i wyposażonych przez nią. Kronikarze o niej mówią: „Sięgając myślą za granicę płci własnej, nietylko do odnowienia Akademji Krakowskiej dzielnie się przyczyniła, ale nadto, wzniesieniem Kollegjum litewskiego w Pradze Czeskiej, najpiękniejszą żywota swego zostawiła pamiątkę". — Ksiądz Ostrowski powiada: „aby dać dowód szczególniejszej swej macierzyńskiej opieki i przychylności narodowi litewskiemu, ufundowała w Pradze Kollegjum litewskie. W tym celu nabyła tamże i zapisała litwinom dom obszerny, ku wygodzie uczących się, — a na opatrzenie potrzeb ich dobra znaczne, 200 kop groszy szerokich praskich czyniące, za pozwoleniem króla czeskiego Wacława w pobliżu Pragi — zakupiła. Testamentem swoim, egzekutorom jego, biskupowi Piotrowi i kasztelanowi Raczyńskiemu przekazała, aby klejnoty jej i skarby pozostałe, na uposażenie tych dwóch szkół poszły".

Fundusz praski, jeszcze za czasów Długosza, słynął w Pradze pod nazwą „Domu Królowej". Wojny i rewolucje czeskie obaliły tę instytucję, niewiadomo dobrze w jakiej epoce. Bandtkie, w „Historji Polski", rozruchom husyckim zaginienie jej przypisuje.

Król Stefan Batory (po Kazimierzu Wielkim), najwięcej zasług położył tak we względzie miłosierdzia jak i oświaty. Obdarzył Litwę Akademją Wileńską i zależnemi od niej szkołami. Pastoryus o nim powiada: „W kościele — więcej niż ksiądz; w Rzeczypospolitej — więcej niż senator; w sądach — więcej niż prawnik; w wojsku — więcej niż hetman; w potyczce — więcej niż żołnierz, w znoszeniu biedy, w cierpliwości i dobroci, w darowaniu uraz — więcej niż człowiek; w utrzymaniu wolności — więcej niż obywatel; w przyjaźni — niż przyjaciel; w posiedzeniu — niż towarzysz; na polowaniu — niż lew, zgoła więcej niż prawdziwy filozof".

Król ten pierwszy zwrócił uwagę na los wojowników zniedołężniałych i pierwszy szpital żołnierski w Warszawie założył i dochodami opatrzył. Po jego zgonie, gdy część funduszów nieprawnie od szpitala oderwano, Zygmunt III kazał go odrestaurować i dobra nań przynależne prawem odzyskać polecił. (Konstytucje 1620 r. *V. L.* 3). Oprócz tego, zapis Prokopa Oborskiego „na fundusz i prowizję ułomnemu rycerstwu" skarbowi oddany w roku 1624, za zgodą stanów, na tenże szpital oddał. Władysław IV, niewiadomo z jakich względów Konstytucją (z 1638 *Oeconomia bellica*) budowlę na cekhaus przeznaczył.

Król Stefan fundował jeszcze szpital dla ubogich w Nowym Korczynie, do którego funduszu Zygmunt III kilka łanów roli ze wsi Górna Wola wcielił.

Batory założył też we Lwowie szpital dla ormian i młyn na przedmieściu lwowskiem za wieczny fundusz mu nadał.

Zygmunt I Stary, założył w Wilnie pierwszy szpital, królewską opieką otaczany, pod wezwaniem Św. Trójcy. Świadczy o tem przywilej jego królewski dla szpitala w r. 1536, zapisany w „Zbiorze praw miasta Wilna", przez Dubieńskiego str. 48.

Dla tego zakładu, a również dla drugiego szpitala dla ubogich, przy kościele Św. Ducha, pod zarządem księży Dominikanów w Wilnie będącego, tenże król Zygmunt I na fundusz wieczysty przeznaczył dochód z mostu, który na Wilji postawić rozkazał. Aby te fundusze powiększyć, dekretem królewskim zabroniono stawiania wszelkich innych mostów, kładek i promów na rzece Wilji, od Niemenczyna do Kiernowa i od wsi Biskupiej Werki, aż do wsi Kapitulnej Ponary. Kierownikiem budowy mostu i administratorem dochodów z niego był horodniczy miasta Wilna Ulryk Hozyusz. Mostowe pobierano według taksy królewskiej: od jednokonnej podwody z sianem, drwami, lub zbożem — po jednym denarze czyli obolu i od parokonnej podwody — po pięć denarów, od wozu cegły — po 20 denarów, a od sztuki bydła, pędzonej przez most — po jednym denarze.

Król Zygmunt August w przywileju z 1545 r., dn. 4 maja datowanym, przykazał, aby administracja i prokuratorstwo, równie mostu, jak szpitala, przy wójcie, konsulach i ławnikach rzymsko-katolickiego wyznania zostały. Na ten szpital postępowały również zapisy prywatne.

Król Zygmunt August zatwierdził też testament sławetnego Erazma Bretnera, prokonsula i złotnika miasta Wilna, w którym tenże dom drewniany, z pomniejszemi domkami przy ulicy Św. Jana leżący, i wszelkie zeń dochody na ów szpital Św. Trójcy zapisał.

Magistrat wileński, z oszczędności na dochodach z miasta, kupił kamienicę na rogu ulicy Sawicz, która się nazywała Jarmolińską, a król Zygmunt August nadał jej przywilej libertacji w roku 1569. Mocą tego przywileju uwolniono kamienicę od wszelkich podatków do skarbu monarszego, a przeznaczono ten dochód, Rapszczyzną zwany, na spital Św. Trójcy.

Zygmunt III nakazał most murowany, lecz już uszkodzony, naprawić, i obostrzył taksę mostowego.

Królowie Michał Korybut Wiśniowiecki i Jan III Sobieski, konstytucjami w latach 1676 i 1677 nakazali podatek czopowego przez lat dwa oddawać na budowę tegoż mostu na Wilji i na dochód szpitala Św. Trójcy.

Magistrat, niezbyt dobrze wypełniający to prawo, podlegał kontroli różnych komisyj, które oddały zarząd szpitala pod opiekę proboszcza Św. Trójcy.

Zapisy prywatne w tym czasie dosięgały kilkudziesięciu tysięcy złotych polskich, a chorych obojej płci utrzymywało się w szpitalu 70 osób.

Stanisław August Poniatowski wyjednał od stanów litewskich założenie w Wilnie Domu Inwalidów, czyli szpitala żołnierskiego dla wysłużonych wojaków. Skarb Litewski powinien był dawać corocznie 20,000 zł. p., a komisja wojskowa przed Sejmem zdawać miała rachunki.

Ponieważ obywatele litewscy użalali się na brak opieki nad swymi biednymi, król Stanisław, za zgodą stanów litewskich, zalecił komisji skarbowej W. Ks. Litewskiego, aby corocznie do rąk wojewody wileńskiego składała sumę 25.000 zł. — wojewoda zaś miał za to upatrzeć wygodny dom z placem potrzebnym i takowy dla ubóstwa urządzić, odzież i żywność przypisać i dozór nad całym zakładem magistratowi poruczyć.

Zatwierdzenie tego prawa znajduje się w konstytucji z r. 1768, a w konstytucji z 1775 czytamy o wydanej ze skarbu sumie 25.000 zł. p. na założenie tegoż szpitala i Domu Dobroczynności w Wilnie.

Król Stanisław August, za zgodą stanów, uporządkował zapisy na szpital Św. Rocha w Wilnie, ubezpieczając jego fundusze w konstytucji 1775 r.

W czasach klęsk i rozbiorów kraju, kiedy prowincje W. Ks. Litewskiego przeszły pod panowa-

nie rządu rosyjskiego, ustawy czteroletniego sejmu, dotyczące zarządu wydziałem dobroczynności, nie mogły wejść w wykonanie w całości, tylko Litwa zyskała, według konstytucji 1775 r. zapadłej, Komisję Szpitalną Litewską, która, w r. 1779 utworzona, przetrwała do 1808 roku. Ona to wszystkie fundusze szpitala Św. Trójcy i Św. Rocha w Wilnie przeznaczyła na szpital jeneralny przy kościele SS. Filipa i Jakóba, który otworzono w 1779 r.

W dalszym ciągu, rozpatrując powstawanie instytucyj dobroczynnych w Polsce, widzimy, że choć Jagiellonowie robili duże fundacje miłosierne, prześcignął wszystkich król Zygmunt III Waza, zakładając nowe i opatrując funduszami już istniejące zakłady.

W Płocku fundował klasztor dla wdów. W Drohiczynie opatrzył drzewem i gruntem szpital, uwalniając go od podatków. W Tykocinie, za jego panowania, szpital żołnierski sumptem Krzysztofa Wesołowskiego, marszałka nadwornego litewskiego, założony został.

W tejże epoce wsławił się Jan Zamoyski otwieraniem zakładów miłosiernych i oświatowych. Dziełem jego była Akademja w Zamościu, która choć nie dorównała krakowskiej, ale przetrwała aż do rozbiorów Polski, i dopiero pod rządem austrjackim zamknięta została. — Fundacji Zamoyskiego była tamże w Zamościu bursa czyli internat dla uczącej się młodzieży, jak również i szpital dla wojskowych inwalidów, bez różnicy wyznania, oraz dom dla ubogich. — Dużo kościołów i klasztorów miłosiernych w całej Polsce powstało też z fundacji Jana Zamoyskiego.

Za panowania Władysława IV Wazy, Aleksander Zborowski założył we Lwowie szpital dla wojskowych, który ten król przywilejami opatrzył. Gdy czasem szlachta niechętna była „dawaniu rycerskich nagród w szpitalach" i nieraz dobra zapisane starała się odbierać, królewskie dekrety i prawa srogo ją za to karały.

Za panowania Władysława IV spotykamy się pierwszy raz oficjalnie z fundacją, świadczącą o wysokiem uspołecznieniu obywatelskiem w Polsce. Jan Lipnicki, ziemianin, obywatel ziemi sandomierskiej, zostawił fundusz, aby intraty z niego opłacały podatki dla Rzeczypospolitej za ubogich wieśniaków, włościan zwanych komornikami, zagrodnikami, chałupnikami. Król tę fundację zatwierdził w Konstytycji z 1647 roku. Na tejże konstytucyjnej sesji zatwierdzono w Smoleńsku bursę dla młodzieży, na którą ksiądz proboszcz Adam Łempicki, półczwarta tysiąca złotych wyłożył, „aby dzieci ubogiej szlachty w naukach mogły się tam ćwiczyć".

Nieszczęśliwe panowanie Jana Kazimierza zostawiło jednak dużo fundacyj filantropijnych. Ksiądz Garwowski, kanonik krakowski, zapisał dwie wsie w województwie krakowskiem dla ubogiej szlachty, kształcącej się w Akademji. — Królowa Marja Ludwika, żona Jana Kazimierza, zapisała dwie wsie na założony przez siebie szpital dla sierot płci obojej w Warszawie. Król ten zatwierdził także zapis dwóch wsi przez Michała Stanisławskiego, wojewodę kijowskiego, na czwarty w Polsce szpital żołnierski w Kamieńcu Podolskim, dla weteranów wojen z Turkami.

Za Michała Korybuta Wiśniowieckiego, archidjakon gnieźnieński kupił wieś w ziemi rawskiej i zapisał ją na fundusz bursy dla niezamożnej młodzieży, „która w Kollegjum Jezuickiem, w wolnych sztukach ćwiczyć się była powinna".

Król Jan III Sobieski uwolnił od podatków kamienice, domy i grunty, należące do bractwa Miłosierdzia, założonego w Warszawie przez X. Piotra Skargę. Należał do niego szpital Św. Łazarza, który król ten rozszerzył, przyłączając doń przyległą ulicę. Za jego też panowania, biskup kijowski Ujejski zapisał na naukę ubogiej młodzieży szlacheckiej województwa sandomierskiego 30,000 zł. p.

Król August II Sas darował w czasie głodu dla ubogich po wojnach — 20.000 zł. p. i potwierdził fundusz Pijarów i szkołę ich w Szczuczynie Mazowieckim. Król ten potwierdził również Konstytucją Sejmową fundacje Jezuitów w Tylży, i w liczne dobra je zaopatrzył. To samo zrobił w Słonimie, nadając Zakładowi Jezuitów całą ulicę z domami, a klasztorowi Pijarów, założonemu w Warszawie, nadał przywilej na drukarnię.

Król August III Sas potwierdził liczne nadania Jezuitom, ale fundacyj nie zakładał osobiście.

Stanisław August Poniatowski zatwierdził w konstytucjach 1764 i 1766 założony w Warszawie przez księdza Beaudouina Szpital Dzieciątka Jezus, nadając mu cztery duże dobra ziemskie, w ziemi warszawskiej leżące. Również szpital Św. Rocha w Warszawie, przez biskupa poznańskiego Tarłę fundowany, otrzymał od niego dwie duże wsie, jako fundusz wieczysty.

Tenże król opatrzył nowemi funduszami i pod swoją opiekę przyjął „D o m P o l s k i N a c j o n a l n y" w Rzymie, istniejący z dawnych czasów, wraz z kościołem, szpitalem i alumnatem pod wezwaniem Św. Stanisława, dawniej otaczany opieką biskupów krakowskich. Zapisano to w konstytucji 1768, „że n a w i e k i pod opieką królów polskich ma pozostawać".

W Gnieźnie internat dla utrzymania i edukacji ubogich studentów szlacheckich, oraz szpital dla żebraków, fundowany przez księży Krzyżaków Miechowskich, tak zw. Stróżów Grobu Chrystusowego, został przez nich z biegiem czasu obrócony na zwykłe siedlisko Zakonu, z pominięciem celów oświaty i miłosierdzia. To też król Stanisław August kazał z niego ustąpić Miechowitom, a oddał go pod dozór arcybiskupa gnieźnieńskiego, zostawiając tylko jednego Miechowitę, jako kierownika uczącej się młodzieży.

Jedną z ważnych instytucyj filantropijnych tego króla była Komisja nad Szpitalami w Koronie i W. X. Litewskiem. Składała się ona z ośmiu duchownych komisarzy z Korony, z prymasem na czele, dalej z czterech wojewodów, trzech kasztelanów, dwudziestu starostów, oraz chorążych, podkomorzych i innych urzędników szlacheckich.

Dla Litwy Komisarjat Szpitalny składali czterej biskupi: Wileński, Żmudzki, Inflancki i Smoleński, oraz ośmnastu panów i dygnitarzy ze szlachty. Komisje te miały szczegółowo przepisane statuty, według których, w całem państwie, wszystkie zakłady dobroczynne publiczne, ich fundusze, administracja, kontrola i opieka lekarska były w zarządzie swym podzielone na okręgi. Konstytucja z r. 1775 zatwierdziła tę ustawę Komisji nad Szpitalami. — W statucie tym uderzają szczegóły, wszystkie b. praktycznie obmyślone, tak co do kontroli nad ubóstwem i żebractwem, jak co do szczepienia ospy, i innych zdrowotnych rozporządzeń. Zbawienna jednak Konstytucja w następstwie została zmodyfikowana, a nowa ustanowiła komisje t. zw. *boni ordinis*, które nad szpitalami w miastach i miastecz-

kach czuwać miały, i od Departamentu Policji w Radzie Nieustającej zależały.

Ostatnie prawo w tym zakresie, wydane przez Stanisława Augusta, datuje się z 1793 roku, na sejmie grodzieńskim. Prawo to wszelkie urządzenia szpitalów i domów dobroczynnych poddaje zarządzeniom Komisji Policyjnej, polecając jej znoszenie się w tym względzie ze zwierzchnością duchowną i zwierzchnością Edukacji Narodowej, wraz z pilną kontrolą nad biednymi, i przeznaczonemi dla nich funduszami.

Artykuł niniejszy obejmuje tylko donacje królów polskich, i te, które przez nich zostały potwierdzone. Głównem źródłem do niego jest wydawnictwo wileńskie z 1820 roku, na dochód Domu Ubogich Wileńskiego Towarzystwa Dobroczynności. Tytuł tego wydawnictwa brzmi: „Dzieje Dobroczynności Krajowej i Zagranicznej z wiadomościami ku wydoskonaleniu jej służącemi".

W temże wydawnictwie z r. 1820 jest początek alfabetycznego spisu nazwisk donatorów i fundatorów różnych instytucyj. Artykuł ten ma tytuł: „Skazówka do Historji Dobroczynności Polskiej i Litewskiej". Są to setki i tysiące nazwisk, ciągnące się w całym szeregu artykułów wydawnictwa, w porządku liter alfabetu. Jako źródło do tego zacytowano poważne dzieła i rękopisy.

Słownik ten jest chyba unikatem w dziejach kultury europejskiej. To w streszczeniu obraz życia narodu i jego kultury.

Naród tworzył ją, jako potrzebę swego ducha i umysłu, bez udziału nakazów rządu. Społeczeństwo owszem zmuszało moralnie rządy swoje do zatwierdzania prawnego urządzanych przez siebie instytucyj dla uczącej się młodzieży, i różnych zakładów dobroczynnych. Rygory podatkowe w tym celu naród nakładał dobrowolnie sam na siebie, obligując tylko rządy swoje do ich pilnowania. Wysoko rozwinięta cześć prozapij rodowych dbała nietylko o zwiększanie podstaw materjalnych swoich rodzin, ale nieraz, z umniejszeniem posiadania niemałem, kładła nacisk na ideę *pro publico bono*, na chwałę Boga i Narodu, przekazując ją w zapisach swoim potomkom. Królowie dawali w tem przykład, a prąd tej troski społecznej był tak silny, że nawet ukoronowani w Polsce cudzoziemcy jemu ulegali.

Słownik donatorów od najdawniejszych czasów aż do rozbiorów jest piękną kartą naszej przeszłości.

LUDWIKA ŻYCKA

DROGA DO STYLU

(WOJNA Z CHAMEM, IV)

PODSTAWĘ rozumową materjalizmu w architekturze „nowoczesnych zaprojektowań" stanowi pogląd, że styl całkowicie zależy od materjału i przeznaczenia buudowli. Dwa są ukryte otrza w tym fałszu podstępnym. Jedno godzi w twórcę (w architekta pojedyńczego i zbiorowego), a drugie — w odbiorcę (w mieszkańca i społeczeństwo). Idea zależności stylu od materjału usuwa z budownictwa udział twórczości artystycznej, a tem samem — wszelkiego stylu. Przeznaczenie zaś ograniczono do potrzeb materjalnych mieszkańca, czem również styl unicestwiono. Wszystko razem nazwano „rzeczowością" architektury, traktując człowieka, jako bydlę, któremu trzeba dać niejaki schron od niepogody klimatu i niewygody obozowiska. Stąd powstają maszyny mieszkaniowe, radzieckie, kawiarniane, uczelniane, modlitewne i t. d., gdzie jedynym sędzią budownictwa jest ścisły rachunek wytrzymałości materjału i pojemności na tłumy mięsa ludzkiego. Architekturę sprowadzono do poziomu ordynarnej tektury, niżej od najniższego prymitywu. Każdy bowiem prymityw zawiera w sobie utajone i potencjalne pierwiastki ducha, czyli artyzmu, tu zaś do cna je wytrzebiono.

Styl jest wyrazem ducha ludzkiego i od niego charakter swój bierze. Każdy materjał stawia człowiekowi pewne, swoiste trudności i wymogi. Ale w każdym materjale każdy odrębny duch ludzki przezwycięża te trudności i zaspakaja te wymogi na swój odrębny sposób. Z tych właśnie różnych sposobów powstają różne style, czy to w drzewie, czy w kamieniu lub cegle ujawnione. Japończyk, Norweg, Rosjanin, Polak, Szwajcar i t. d. budowali się w drzewie, a każdy w stylu odrębnym. Kamień i cegła, każde w swoim zakresie, stały się polem równie licznych sposobów czyli stylów różnych, od charakteru ducha ludzkiego zależnych. Prócz tego duch ludzki przenosi swój odrębny charakter czyli styl z materjału na materjał, z doświadczenia na doświadczenie, z wiedzy na wiedzę techniczną, stwarzając tem historyczne, rozwojowe ciągi stylowe. A nadto — w miarę własnych przemian wewnętrznych odmienia sposoby swoje, czyli style, a to wtedy nawet, gdy trwa przy jednym materjale i na tym samym wiedzy swej poziomie. Te same uwagi dotyczą klimatu i terenu.

Przeznaczenie budowli wyodrębnia pewne potrzeby, dla których człowiek buduje, ale nie zmienia jego ducha. Dzieje się odwrotnie: duch ludzki obdarza przeznaczenie gmachu pewnemi potrzebami, które przy tem samem przeznaczeniu, ale w różnych rasach, narodach i czasach bywają biegunowo różne. Według tych właśnie odmian i przemian ducha ludzkiego odmieniają się i zmieniają potrzeby, a więc i style budowli, mających jedno i to samo przeznaczenie. Świątynia wszędzie jest świątynią, gdy jednak jeden duch szuka jasności w niej i pogody, inny chce tajemnicy i grozy. I według tych swoich potrzeb — buduje. Skoro zaś potrzeby ducha ludzkiego, jak wiadomo, są liczne i tworzą coraz nowe między sobą połączenia, zatem stąd i wielka mnogość stylów i ich odmian powstawać musi. Natomiast materjalne potrzeby człowieka, w ilości swej bardzo ograniczone, na każdym stopniu ich rozwoju zaspakaja wyłącznie wynalazczość techniczna, która na żaden styl nie wpływa i w każdym pomieścić się może. Stosuje się to do architektury mieszkalnej i z nią pokrewnych. Tu jednak zwolennicy maszyn do mieszkania wskazują na fabryki i różne budowle o swoistych przeznaczeniach technicznych, których charakter zależy od prze-

znaczenia. Ma to być argumentem dla ich poglądu, lecz tedy jeszcze niżej ich tekturę pogrąża.

Maszyny do mieszkania i mieszkania dla maszyn — to są w każdym razie dwie rzeczy zasadniczo różne i niewspółmierne. Gmachy fabryczne, huty, hangary, elektrownie, remizy, wielkie dworce kolejowe i t. p. budowle zaspakajają potrzeby materjalne swoich mieszkańców, t. j. maszyn i na tem kończą, bo maszyny potrzeb duchowych nie mają. Stal i szkło są głównym i najodpowiedniejszym dla tego budownictwa materjałem, z czego w związku z wielkością gmachów i przeznaczeniem powstają kształty swoiste. I tu jednak człowiek, o ile może, wprowadza piękno, czyli wyraz swoich potrzeb duchowych. Ale, jeżeli z tego wyłoni się jaki styl, to będzie on miał swoją dziedzinę szczególną i na budownictwo mieszkalne wpływu mieć nie może. W przeciwieństwie do mieszkań dla maszyn, maszyny do mieszkania ludzkiego nie liczą się z najliczniejszą kategorją potrzeb mieszkańca, potrzeb duchowych, czem go na poziom niższy od maszyn spychają. Materjalizmu atoli nie przeraża taki wniosek ostateczny, owszem — zgadza się to z jego założeniem i celem. Lecz w takim razie w tem miejscu kończy się wszelka z nim rozmowa. Nie może się toczyć spór ideowy pomiędzy człowiekiem a gorylem.

Wszystkie znamienne cechy każdego stylu, włącznie ze zdobinami, stanowią wyraz duchowych potrzeb człowieka. Żadna z tych cech nie wyraża jego potrzeb materjalnych. Godny polecenia i pouczający byłby szczegółowy pod tym kątem widzenia przegląd całego dorobku architektonicznego ludzkości. Niesłuszne przytem jest mniemanie, jakoby zdobiny do architektury nie należały. Owszem—należą, o ile mimo swojego często niearchitektonicznego pochodzenia pełnią czynności architektoniczne. Zdobina, usuwająca nudę płaszczyzny, umniejszająca ciężar ściany, nadająca wyraz oknu i t. d. wykonywa rozkaz architekta, a nie zachciankę rzeźbiarza lub rysownika. Jest więc na miejscu. Należy pozbywać się tylko tych zdobin, które nic nie robią, — nie jako zdobin, lecz jako zbytecznych próżniaków. Styl przeto wyraża się również w zdobnictwie, co zresztą widoczne jest w stylowej zgodzie sprzętarstwa z architekturą. Gdyby nie zasada duchowa, gdyby nie wspólna idea przewodnia, nie z materjału i przeznaczenia, ale z ducha poczęta, to w jakiż sposób styl wmurowany w architekturę mógłby wyrazić się w stolarstwie?

„Styl — to sam człowiek!“, — powiedział Buffon, co jest prawdą, lecz jeszcze głębsze i bliższe określenie stylu dał Jan Gw. Pawlikowski w słowach: — „Styl — to obyczaj!“ Tylko bowiem dzięki obyczajowi, który wiekami się tworzy i który w sobie samym utrwalić i nadbudować trzeba, człowiek (natury) staje się człowiekiem (kultury). Z obyczaju powstaje styl architektury, czem zaznaczona jest zbiorowa w budownictwie twórczość człowieka. Nowy styl powstaje naskutek dojrzałości i owocowania nowego obyczaju, a to nie jest sprawą dziesiątków lat, ale wieków, oraz nie uroszczeniem byle urzędu, ale wolą całych warstw narodu. Dziecinne lata (wieki) narodu polskiego przypadły na czas pełnego rozkwitu stylu romańskiego i szczytnych początków gotyckiego w Europie Zachodniej, co przemożną potęgą dawnej, wielkiej i wielostronnej kultury na długi czas nad polskim obyczajem budowniczym zaciążyć musiało. Mimo to obyczaj ten przetrwał w różnych rozgałęzieniach do czasów naszych, wyciskał piętno swoje na gotowej architekturze Zachodu, przekształcał ją na swój sposób, a tu i ówdzie sam się ku wyższym i pełniejszym formom rozwijał. Jednym z objawów życia i rozwoju polskiego obyczaju budowniczego jest budownictwo zakopiańskie, względem którego Witkiewicz odegrał poczęści taką rolę, jak Szopen względem polskiej melodji ludowej.

Taka jedynie istnieje, mozolna i wytrwała poprzez wieki droga do stylu własnego w architekturze. Dopiero część tej drogi Polska przebyła, jako że, wciągnięta od początku w orbitę wysokiej kultury europejskiej, musiała naprzód jej wyniki przyswoić sobie i przerobić, a zarazem dojrzałości swojej doczekać. Obecnie wchodzimy w okres własnej na wielką skalę twórczości narodowej, co przed stuleciem zaznaczyło się w poezji romantycznej i w muzyce, następnie w malarstwie, dramaturgji i rzeźbiarstwie, a teraz wreszcie przenika i do architektury. Sztuka, jako najczulsze narzędzie duszy ludzkiej, wyprzedza w samopoznaniu się narodu inne życia dziedziny, ale przyjdzie kolej i na nie. Wszystkie te poczynania twórcze jedna znamionuje cecha wspólna i wiele mówiąca: nawrót do rodzimości, do ludu, jako do najgłębszego i najczystszego źródła osobowowości narodowej. Przypadło na Polskę tak, że ten w kulturze jej zwrotny wiek dziewiętnasty był najcięższym dla niej wiekiem upadku politycznego, co znacznie opóźniło i osłabiło przebieg dojrzewania jej duchowego. Ujawniły się i ostały tylko szczyty najwyższe. Dopiero teraz owa droga do stylu polskiego (nietylko w architekturze) może odpowiedniej nabrać szerokości i równi, lecz pod warunkiem, że warstwa oświecona całą siłą przeciwstawi się najazdowi wszelkich międzynarodówek, których celem jest ponowne pogrzebanie Polski w popiele europejskości. Nakazem przeto epoki i ducha czasu jest dobywanie z narodu własnych jego pierwiastków duchowych — swoistych i twórczych.

Materjalizm przeniknął do umysłowości współczesnej głębiej i dalej, niżby to mogła wykazać polityczna i społeczna linja graniczna. Pośród wyboru artystów, jak, naprzykład, architektów w ankiecie „Wierchów“ zgromadzonego, w formie czasem milczącej i domyślnej, trwa tu i ówdzie przekonanie, że przerodzenie się stylu zakopiańskiego na wątek ceglany byłoby tylko próbą miejscową, całości stylu polskiego nie rozstrzygającą, a w każdym razie napotyka na trudności, z któremi może poradzą sobie kiedyś dużej miary talenty, ale teraz oni, architekci, stają przed tem zagadnieniem bezradni i niepewni. Stanowisko takie wynika z utajonego w nich, bezwiednego materjalizmu architektonicznego. Styl dla nich zrósł się bez reszty z miejscowością, przeznaczeniem, wątkiem, oraz temi lub owemi częściami budowli, których nie da się w postaci niezmienionej w mur przeobrazić, zmienione zaś — zatracą, jakoby, styl zakopiański, staną się żadne w wyrazie, bezstylowe, nawet — nie polskie. Jednego architekta unieruchomia w bezradności dach, drugiego — zrąb, trzeciego — ogólna dworu sylweta. Widać jasno, że każdego z nich więzi przedmiot konkretny. Nie umieją, nie mają odwagi wyzwolić się z konkretu, ażeby posiąść jego syntezę, jego ducha, jego obyczaj, to właśnie, co stylem nazywamy. Cofają się z przerażeniem, gdy w ich przewidywaniu ginie na gmachu murowanym dach dworu góralskiego,

albo w zrębie — jego konstrukcja wieńcowa. Ale w ten sposób ani kroku naprzód nie postąpimy.

Bez najmniejszych uroszczeń do praktycznej wiedzy budowniczej, uczyńmy próbę wyobrażenia sobie murowanego, dwupiętrowego ratusza w Zakopanem, wzniesionego na podstawie przekształceń paru typowych dworków i dworów góralskich. Nie znam szczegółowych warunków, oraz terenu i sąsiedztwa zamierzonego ratusza, więc wyobrażenie będzie ogólnikowe, ale dla celu mojego wystarczające. Naprzód — naziom (parter). Wyobraźmy sobie, że architekt bierze tu za punkt wyjścia wspaniały fundament domu „Dąbrówka“ w letnisku Wisła w Beskidach roboty miejscowego budowniczego Mamra. Fotografję tego domu podaje na str. 20 broszura p. J. Gw. Pawlikowskiego. Na odpowiednim fundamencie ustawione, odpowiednio wzwyż wyolbrzymione i w odchyleniu od pionu (może) złagodzone arkady te na całą szerokość dużego ratusza (na jego jednym, czy dwóch, trzech lub czterech frontach) dają gotowy, podcieniony naziom o charakterze monumentalnym. Pośrodku tego naziomu w głównej ścianie frontu — występ ku ulicy (który jest i w „Dąbrówce”), odpowiedni w kształtach i wielkości, daje gotową i wspaniałą bramę wjazdową. Na tym naziomie na poziomie pierwszego piętra biegnie dokoła krużganek (jak i w „Dąbrówce“), a ściana pierwszego piętra, naturalnie, cofnięta do pionu ściany naziemnej. Nad bramą wjazdową krużganek (według wzoru „Dąbrówki“) przeobraża się w wielki balkon, na występie bramowym leżący, z kolumnami i oszklony — gotowa, a tak dla ratusza odpowiednia loża reprezentacyjna. W przebiegu krużganku architekt, oczywiście, tworzy szczegóły według potrzeby i woli. Szerokie, często potrójne okna dworów zakopiańskich w zasadniczym kształcie również są dla ratusza odpowiednie i niemal gotowe. Ozdobne ich obramienia także mają doskonałe wzory w zakopiańszczyźnie. To samo dotyczy drzwi.

Wyobraźmy sobie dalej, że drugie piętro oddziela od pierwszego szeroki gzems nad krużgankiem na słupach, albo wykształconych kolumnach oparty. Nad lożą pierwszego piętra gzems ten albo się zmienia w podstawę drugiego wyższego balkonu, albo w dachowe nakrycie loży. W przebiegu zaś swoim może być użyty jako podstawa do mniejszych balkonów drugiego piętra, albo zgoła do całkowitego krużganka wyższego. Ponad bramą wjazdową, lożą i możliwym balkonem drugiego piętra otwiera się możliwość wyprowadzenia ze ściany fundamentalnej w sposób dla ratusza zwyczajowy— wieży zegarowej. Drugie piętro nakryte dachem... zakopiańskim, ale, rzecz prosta, w innej proporcji, przez co jednak niekoniecznie ma on swojego ducha, swoją syntezę artystyczną zatracić. Dach na tej wysokości jeszcze bardzo dobitnie spełniać może swoje czynności artystyczne. Tu jednak tyle istnieje możliwych rozwiązań zasadniczych, że należy już je bez słowa pozostawić wyobraźni artystów i logice budowniczych. Jedną tylko dorzucić godzi się uwagę ogólną. Niema potrzeby zachowywać całej sylwety dachu, ani jego proporcyj, co byłoby oczywistym nonsensem. Do przeniesienia nadaje się tylko ideja kształtu, zaznaczona czy w daszkach nad facyjatami, czy w pasach dachu, które obok facyjat spływają, a także w swoistym kształcie szczytów poszczególnych, wreszcie — w zdobnictwie werdzennem.

Jak widzimy, wyobrażenie powyższe niewiele odbiega od „Dąbrówek“, „Cieślówek“ i „Obrochtówek“, a daje się zastosować tak w luźno stojącym gmachu murowanym, jak też w zwarciu ulicznem. Połączenie materjałów — kamienia, cegły i drzewa, nieraz w budownictwie z doskonałym wynikiem używane, tu również może być wskazane, naprzykład — kamień w arkadach naziomu, cegła — w ścianach, drzewo — w stropach komnat i t. p. Dziedziniec takiego ratusza musi być w naziomie lżejszy, więc, dajmy na to, zamiast arkad — kolumny, a na nich krużganek. Klatki wschodowe, wschody i całe wnętrze dają nieograniczone pole do rozwijania mniejszych i większych motywów zakopiańskich. Wszystko razem z łatwością nawiązywać można do kształtów i upodobań architektury innych dzielnic Polski, co może być posunięciem się w kierunku stopienia ich w styl ogólno-polski. Przy sposobności architekci uzyskają wdzięczne zadanie stworzenia typu kolumny polskiej z głowicowych wiązań słupów i rozwinięcia wielu innych szczegółów. *Mutatis mutandis* w tych samych zarysach przedstawia się sprawa ta w zastosowaniu do innych gmachów użyteczności pospólnej, jak poczty, szkół i t. p., oraz pensjonatów, hotelów i t. d., aż do kościołów włącznie. Lepsze są długotrwałe wysiłki i szereg prób, powodzeniem nie uwieńczonych, niż stanie w miejscu i gadanie. Co zaś do dworów odosobnionych i domów prywatnych, to w żadnym razie nie może być dwuch zdań względem wyboru, w jakim stylu ma się budować Zakopane — w góralskim, czy w gorylskim.

Nie wejdziemy na drogę do stworzenia stylu polskiego na miarę wielkich stylów światowych, dopóki nie zaczniemy pojmować stylu, jako wyrazu duchowego narodu, a nie jako jego przejawów konkretnych i miejscowych. Styl nie narodzi się w chmurach, tylko w jakimś miejscu określonem, a nie poczyna się też od harmidru stu żydków z ich muzą podkasaną, lecz, jak potoki poprzez góry, przedziera się przez wieki, a do tych wieków i nasz wiek należy. Polska znajduje się dopiero na górskim początku swojej kultury. Jeden z potoków rodzimej naszej architektury przepływa przez Zakopane, a Zakopane w naszych czasach stało się widną w Polsce miejscowością, byłoby zatem błędem na długo mściwym ominięcie sposobności do prób, aby tu właśnie powstał styl polski, w kamieniu, murze i marmurze do wielkiego wyrazu podniesiony. Zamierzona budowa ratusza w Zakopanem, jakoże ratusz siłą rzeczy wzorem daleko promieniuje, staje się przeto węzłem nie byle jakiej wagi i nie może być samopas puszczona, ani też opuszczona (dla takiej błahostki, że w rozpisaniu konkursu popełniono omyłkę). Konkurs raz jeszcze podjąć należy, ale — dwustopniowy. Pierwszy — wstępny, ogólnie ogłoszony, na projekt szkicowy, z liczniejszemi, ale mniejszemi nagrodami i z warunkiem rozwinięcia stylu zakopiańskiego, a drugi — imienny, rozpisany pośród artystów wyróżnionych, już na projekt całkowity, z trzema dużemi nagrodami. Poprzedzony odezwą, wyjaśniającą doniosłość sprawy, konkurs taki, atmosferą niezwykłych ambicyj artystycznych otoczony, może stać się wypadkiem zwrotnym w dziejach sztuki polskiej. A wojnę trzeba wygrać.

Skoro dokoła ratusza zakopiańskiego tyle z architektury i z Polski nagromadziło się elektryczności, niech jasny piorun spali chama z jego patryjarchatem, a w dziejach budownictwa polskiego twórczy okres rozpocznie.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA WIDOWNI

Zaduszki. — Przed trzynastu laty we Lwowie. — Przed trzema laty: pogrzeb wodza. — Na czem polega siła asymilacyjna. — Na wyżynach lojalności.

Żadne chyba święto w roku nie jest tak żywe, jak listopadowe święto zmarłych. Żywe w świadomości najliczniejszych rzesz, choćby całkiem obojętnych religijnie, żywe bodaj w duszach tych nawet, którzy nie wierzą w istnienie pozagrobowe.

Miasto w Zaduszki wydaje się obumarłe, wyludnione. Wszystko, co żyje, tłoczy się pośród grobów, na cmentarzach. Od szarości mrocznej w pochmurnym listopadzie miejskiej ulicy, mocnym kontrastem odbija strojność płyt i kopczyków mogilnych, zdobnych kwiatami, migocących poprzez gałęzie drzew cmentarnych blaskami płonących świec i lampek.

W odwiecznych instynktach przechowywana, religijna w swej istocie potrzeba pamięci o zmarłych choć raz do roku ujawnia się w tym dniu siłą wewnętrznego nakazu, albo przynajmniej gotowością stosowania się do reguł starodawnego obyczaju. Nawet najpłytsi fanatycy „tempa życia", najnaiwniejsi wyznawcy religji „współczesności", zrywają pomimowoli z naczelnem jej przykazaniem, żądającem od człowieka: życia jedną chwilą, „dniem dzisiejszym", „teraźniejszością". W myśli, karmiącej się tylko „aktualnością", z minuty na minutę, odzyskuje, chociaż na moment jeden, należną mu rolę, łączące przeszłość z chwilą obecną i nadające jej sens i treść trwalszą—wspomnienie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Przed trzynastu laty, w Zaduszki we Lwowie, pusto było i nie odświętnie na miejskich cmentarzach, aczkolwiek pusto też na ulicach miasta, gdzie raz po raz przesuwały się ukraińskie patrole lub rozlegał się strzał karabinowy. Jeśli kto zbliżył się pod cmentarz Janowski czy Łyczakowski, to chyba wyłącznie w tym celu, żeby drogą okólną, przez mniej uczęszczane zaułki i uliczki podmiejskie przedostawać się do organizujących odpór polskich sił zbrojnych w szkole im. Sienkiewicza, w starym Domu Techników przy ul. Issakowicza lub w kierunku—stającego się już ogniskiem walk—dworca kolejowego. Nie było komu myśleć o zapalaniu świec na grobowcach, o strojeniu ich, jak corocznie, kwiatami i wieńcami z choin.

Ale zato w kilka miesięcy później, w oswobodzonem już mieście, piękny cmentarz Łyczakowski ozdobił się ozdobą od wszystkich piękniejszą: lasem krzyżów jasnych na mogiłach, jakby jeszcze w szyku wojskowym na paradzie, jeden obok drugiego pogrzebanych — obrońców Lwowa.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Przed trzema laty, właśnie przed samą uroczystością Zaduszek, na cmentarzu Obrońców Lwowa, pochowano zmarłego po rocznem więzieniu na Antokolu, bohaterskiego i zwycięskiego dowódcę odsieczy Lwowa zimą i wiosną 1918/1919 r., szefa sztabu generalnego zwycięskiej bitwy pod Warszawą w sierpniu r. 1920, generała Tadeusza Rozwadowskiego. Jak w przejmującym wierszu Słowackiego, ze szpitala przyniesiono „biedną trumnę" Tego, który czyż mógł był kiedy pomyśleć, „że tak skona..."

„Gdyby przynajmniej przy rycerskiej śpiewce,
Karabin jemu pod głowę żołnierski!
Ten sam karabin, w którym na panewce
Kurzy się jeszcze wystrzał belwederski —
Gdyby miecz w serce lub śmiertelna kula,
Lecz nie! — Szpitalne łoże i koszula!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Czemu groby obrońców Lwowa są naprawdę niezwyciężoną strażnicą polskości Ziemi Czerwieńskiej? Czemu nie w przenośni retorycznej, ale najdosłowniej są one i pozostaną na wieczność żywą siłą, umacniającą i zabezpieczającą polskie władztwo nad tą częścią ziem Rzeczypospolitej?

Nie wystarczy orężnie oswobodzić kraj i go obronić. Chcąc go posiadać trwale, trzeba, by zwyciężeni w walce, musieli poczuć dla swoich zwycięsców respekt wewnętrzny, mimowolnie pochylić głowy przed wielkością duchową, która była przyczyną trjumfu i jego moralnem uzasadnieniem. Nie pomnożą tego respektu niedawne „pacyfikacje", ale żaden uczciwy rusin, jeżeli sam nie zechce zdegradować się na poziom etycznego chamstwa, nie może bez szacunku najgłębszego odnosić się do tego skarbu cnót rycerskich, bohaterstwa i poświęcenia, którego cmentarz Obrońców Lwowa jest symbolem.

Siłę asymilacyjną, przyciągającą wywiera naród wtedy, gdy jego twórczość, typ moralny, tradycje mają cechy, posiadające wartość powszechną, przedmiotową, która imponuje asymilowanym, przedstawia się im jako coś doskonalszego, niż poziom ich dotychczasowego środowiska, a tem samem skłania do podnoszenia się na ten wyższy poziom, do naśladownictwa. Wódz, który tylko zwyciężył, stłumił bunt lub opanował terytorjum, wart jest tyle, ile warte są jego umiejętności strategiczne, ale wódz i żołnierz, który ponadto potrafił okazać się reprezentantem honoru i obyczaju rycerskiego swego narodu, być dżentelmenem, który postępowaniem swem budzić musi poszanowanie także u pokonanych, jest czemś więcej: staje się czynnikiem zespolenia, zapowiedzią przyszłej jedności niegdyś skłóconych z sobą i walczących po przeciwnych stronach wojennego okopu — żywiołów. I gdy rusin wschodnio-małopolski wzniesie się na ten szczebel kultury, gdzie nie wystarczy mu już ideał „szerokiej natury" ukrainnego watażki, a szukać będzie typu moralnie pewniej ukształtowanego, głębszego, powiedzą mu niejedno o nim mogiły żołnierzy polskich i ich dowódcy, zluzowanych na ostatni wypoczynek — za bramę Łyczakowskiego cmentarza.

Często mówi się — i słusznie zupełnie — o potrzebie wychowania ludności ruskiej w poczuciu lojalności w stosunku do Rzeczypospolitej. Gdy niema wewnętrznej lojalności, istnieje tylko tchórzliwa uległość niewolnicza, która przy nadarzonej sposobności może łatwo przerodzić się w nędzną także i równie podłą nienawiść niewolnika zbuntowanego. Lojalność jest pewna i trwała, ponieważ łączy się najściślej z poczuciem honoru, jest z nim właściwie jednoznaczna. Niema wszakże lepszej nauki nad przykład żywy. A grób dowódcy Obrony Lwowa jest równocześnie grobem żołnierza, którego imię stało się synonimem lojalności, honoru, wierności przysiędze aż do ostatka, wierności niezłamanej prześladowaniem, nie znającej wahań, nie dopuszczającej paktów z sumieniem.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

„NIE Z FASZYZMEM
LECZ Z BOLSZEWICKĄ CZEREZWYCZAJKĄ"

PROF. Joseph Barthélémy w swojej głośnej książce o „Kryzysie Współczesnej Demokracji" poświęca Polsce dłuższy rozdział, który zawiera w całości... dokładny opis Brześcia. Opis jest szczegółowy i ścisły tak bardzo, że czytelnik polski przeniesiony jest nielitościwie myślą o rok wstecz, w ów ponury, duszny i haniebny czas jesieni roku ubiegłego. Trzeba przyznać, że nie oszczędza nas w swojej rozpaczliwej sumienności i dokładności opowiadań o Brześciu.

Rozdział kończy się następującem krótkiem, ale wymownem omówieniem:

„I pocóż układać tu komentarze, kiedy nagie fakty mówią same za siebie. Podobne metody radykalnie zaprzeczają możności funkcjonowania demokracji parlamentarnej. I nie z systemami faszyzmu można je porównać, lecz z metodami sąsiadującej, bolszewickiej czerezwyczajki. Nie przyczynią się one bez wątpienia do zacieśnienia moralnej spójni narodu polskiego. Dlatego też zasmucają tych, którzy wierni tradycjom sentymentu, jakoteż posłuszni głosowi rozsądku — pozostają przyjaciółmi Polski.

Oficjalnie głoszą komentatorzy rządu Piłsudskiego, że marszałek jest „demokratą antyliberałem". W istocie jest bardzo ciężko rozplątać ideę polityczną bohatera polskiej niepodległości.

Począwszy od 15 maja 1926, dzierży nieprzerwanie władzę, pod najróżnorodniejszemi jednakowoż postaciami. Obecny gabinet Sławka, utworzony na początku 1931-go roku, jest z kolei dwudziestym czwartym w niepodległej Polsce. W okresie pomajowym było ich dziesięć. Premjerem osobiście był w tym pięcioletnim okresie za dwoma nawrotami (2 paźdz. 1926 — 7 czerwiec 1928 — 25 sierp. 1930 — 4 grudzień 1930). W ciężkich chwilach walk wyborczych bierze marszałek odpowiedzialność za rządy otwarcie na siebie. Gdy cel osiągnięty, rzuca wodze innym

Nigdy nie myślał o stworzeniu formalnej dyktatury. Mógł ją stworzyć, był do tego niejednokrotnie zachęcany i nigdy wyraźnie nie odsuwał tych, co się głosili zwolennikami dyktatury. Zawsze jednak upierał się przy legalności prawie konstytucyjnej, dążąc zwolna do uświęcenia swojej polityki drogą wyborów, które nabrały cech plebiscytu.

Nie kryje się on ze swemi konstytucyjnemi preferencjami Chce prezydenta republiki, wybranego drogą powszechnego głosowania i wyposażonego władzą, którąby mu pozwoliła samodzielnie decydować w obliczu ważnych zagadnień narodowych.

Z tarciami, zgrzytami i nie bez bolesnych urazów puścił w ruch machinę demokracji parlamentarnej, w ich granicach konstytucyjnych. Należy się spodziewać, że z jego zniknięciem z areny politycznej, powrót do normalniejszych stosunków nastąpi bez wstrząsów, w miarę jak okoliczności same przez się utracą swój wyjątkowy charakter".

Powrót więc do stosunków normalnych w Polsce nastąpi — zdaniem pisarza francuskiego — „z jego zniknięciem z areny politycznej"...

Poglądy p. Barthélémy są ważne nie tylko dla ludzi, wyznających doktrynę demokracji. Wynikają one z poczucia przyzwoitości i prymitywnych wymagań współczesnej cywilizacji europejskiej. Jest to ciężkiem i zasłużonym niestety! upokorzeniem, że honor kultury polskiej spotkał się z tak dotkliwem oświetleniem.

M. O.

NAUKA I LITERATURA

Z POWODU ENCYKLOPEDJI WOJSKOWEJ

WYDAWANA od kilku miesięcy „Encyklopedja Wojskowa", powstała z inicjatywy Towarzystwa Wiedzy Wojskowej i Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego, stanowi niewątpliwie pożyteczne i godne najwyższej pochwały przedsięwzięcie. Nie czas jeszcze na jej wszechstronną ocenę, ukazało się bowiem dopiero sześć zeszytów, obejmujących litery A i B. Mimo to wszakże czujemy się w obowiązku zwrócić uwagę na jedną dziedzinę, która na odpowiedzialnych za nią współpracowników rzuca ujemne światło, świadczące o ich lekkomyślności, czasem ignoracji. Chodzi o to, aby przestrzec w tej drodze inicjatorów i firmującego przedsięwzięcie naczelnego redaktora — ludzi oczywiście dobrej woli — by w ten sposób dać możność usunięcia w porę niedomagania.

Jest to dział biografij, które w Encyklopedji muszą zająć poczesne miejsce, dotyczą bowiem osób, zasłużonych w dziedzinie wojskowej. Zdawałoby się, iż jest to rzecz prosta, nie nastręczająca wątpliwości. Tymczasem niedbalstwo redaktora tego działu wywołuje niepokój i daleko idące zastrzeżenia.

Pominąć można dziwną — niespotykaną w tego rodzaju naukowo należycie postawionych wydawnictwach — metodę, że nie odróżnia się tu właściwego nazwiska od przydomku czy pseudonimu. Tak np. Boruta-Spiechowicz winien być pod literą S (jak słusznie zdecydowano co do Bończy-Uzdowskiego, odsyłając go do litery U), Belina-Prażmowski winien być pod P, Bogusz-Mazurkiewicz pod M, Brochwicz-Lewiński pod L, Bończa-Tomaszewski raczej pod T, o ile przyjmiemy, wbrew rzeczywistości, że Tomaszewski jest jego właściwem nazwiskiem (do tej sprawy powrócimy jeszcze), a zato stanowczo Dęba-Biernackiego miejsce jest właściwe pod literą B, a nie D, jak zdecydowano w „Encyklopedji" (czemu wobec tego pominięto Barnabę-Rożena, o którym w myśl tej dziwacznej zasady tu należałoby wspomnieć.

Ważniejszą rzeczą jest kwestja zasadnicza — doboru kompletu, zasługującego na to, aby na łamach „Encyklopedji" się znaleźć. Tu już widać pomylenie i pomieszanie pojęć, może tendencję, a może niedbalstwo. Kiedy np. różni domorośli „pisarze wojskowi", często początkujący autorowie zaledwie paru artykułów problematycznej wartości, otrzymują obszerne notatki, kiedy „por. rez." Birnbaum ma tak drobiazgowy życiorys, o jakim marzyć by nie mogli o niebo więcej zasłużeni — to ludzie, właśnie przedewszystkiem dorastający do „poziomu encyklopedycznego" są z niepojętych względów pomijani. Zresztą wogóle nie jest jasne, kto z punktu widzenia komitetu redakcyjnego „Encyklopedji" „dorósł" do tego, aby nie ujść jej uwagi i dostąpić zaszczytu figurowania na jej łamach.

Dlaczego więc pominięto zasłużonego z czasów wojny 1918-20 r., zwłaszcza w obronie Śląska Cieszyńskiego i Galicji Wschodniej gen. Aleksandrowicza, kiedy uwzględnia się pomniejszych, bo od ppłkowników (np. Bobiatyński) dowódców z tego okresu; dlaczego pominięto gen. Stefana Buchowieckiego — starego legjonistę, jednego z zacniejszych ludzi i wiernego żołnierza Józefa Piłsudskiego, który umierając meldował mu jeszcze „swoje odejście na zawsze", gen. Franciszka Białokura, gen. Ludwika Berezowskiego zdolnego inżyniera wojskowego. Czemu nie dostąpili łaski pułkownicy dypl. Władysław Anders, Stanisław Augustyn, Adam Ajdukiewicz, lub były dowódca oddziału lotnego strzelców z 1914 roku, przedtem bojowiec, potem oficer I Brygady i minister Rzeczypospolitej Tomasz Arciszewski (może z powodu „odstępstwa"?); bądź pułkownik dypl. Bobkowski — niedawno

„odkomenderowany" do ministerstwa kolei (t. zw. „transfuzja krwi"); czy major Kostek Aleksandrowicz pułkownicy Jarosław Aleksandrowicz, Włodzimierz Ambrożewicz, M. Bajraszewski, K. Baraniewicz, T. Bełtowski, W. Biernacki i w. w. innych. Czy płk. Aleksander Batory waleczny artylerzysta, czy podpułkownik Arczyński szef naszych saperów, czy wreszcie... ze wstydliwego zakątka historji — pułkownik Kostek Biernacki, bohater Brześcia, ale i bohater zamku lubelskiego. Wszakże zgoła już niepojęte jest pominięcie pułkownika dypl. Franciszka Adama Arciszewskiego, rzeczywistego i nieprzeciętnego pisarza wojskowego, którego prace wydawał przed kilku laty ten sam Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy. Zatem niektóre „przeoczenia" wskazywałyby na fakt, że redakcja „Encyklopedji" bynajmniej nie hołduje zasadzie objektywizmu naukowego w swej pracy.

Przy takich niedopatrzeniach trudno znaleźć kryterjum, boć można było parę wierszy, choćby kosztem tasiemcowych notat o różnych współczesnych „znakomitościach", wspomnieć i o innych zasługach.

Lecz nietylko we „współczesności" dostrzegamy niezrozumiałe „posunięcia". Umieszczeni zostali tacy np. Alcjato czy Awejde (niby z jakiej racji w „Encyklopedji Wojskowej"?), lub skromniejszej bądź zgoła przeciętnej zasługi ludzie, jak np. mjr. Dominik Bakałowicz — syn znakomitego Jana — czy jacyś drobni dowódcy partyj powstańczych z 1863/4 r., a nawet młodsi oficerowie, jak bezimienny (bo nie potrudzono się nawet, by imię to ustalić) Bogusławski por. (!) Pominięto natomiast Abramowiczów Jana i Ignacego (tego ostatniego pewno z racji jego odstępstwa), Piotra Aignera jednego z twórców teorji kosy, jako broni wojennej, płk. Jakóba Antoniniego (rok 1831 i emigracja) płk. Józefa Aksamitowskiego, płk. Franciszka Bobińskiego (rok 1831 i wyprawa Zaliwskiego) płk. Ignacego Bolestę (słynnego z zatargu z W. Ks. Konstantym), płk. Kaspra Boguckiego (obrońcę arsenału warszawskiego w 1794 r.), pułkowników Barskiego i Brzechwę, wytrwałych napoleończyków, płk. Aleksandra Bnińskiego późniejszego senatora, kasztelana, a w 1831 r. — jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli Głównego Intendenta Wojska, a napoleońskiego walecznego szefa bataljonu, mianowanego nad Berezyną brygadjerem, no i ktoby pomyślał — pisarza wojskowego, bo autora rozprawek „o ćwiczeniach piechoty polskiej" i „o jeździe"; Antoniego Białkowskiego, autora ciekawych, wydanych przez prof. Tokarza, pamiętników, gen. Józefa Bułharyna, niestrudzonego bojownika o niepodległość, autora ciekawych uwag o wojnie 1831 r. i o powstaniu węgierskiem 1848/9 r. i t. d. i t. d. — przykładów można byłoby mnożyć bardzo wiele.

A jaka jest współmierność w ocenie dawniejszych i dzisiejszych czasów, niech świadczy fakt, że gen. Łukasz Biegański — oficer kościuszkowski, generał napoleoński — zasłużył sobie swojem 84-letniem ofiarnem życiem na 13 wierszy, podczas kiedy jego imiennik współczesny, trzydziestoparoletni major, niby „pisarz wojskowy", który m. in. „z trudem przedziera się do kraju" z... niewoli (zgoła niestosowny i zbędny w „Encyklopedji" patos)—otrzymuje 29 wierszy, więc zgórą dwa razy więcej.

Z pośród oczywistych pomyłek i karygodnych przeoczeń, których nie da się usprawiedliwić, należy wyróżnić: opuszczenie cesarzy rosyjskich — no i królów polskich Aleksandrów (może odłożonych pod przywrócone im przez bolszewików rodowe nazwisko Romanowych?); potraktowanie Bończy-Tomaszewskiego pod pseudonimem, kiedy już marszałek Piłsudski ustalił, że nazwisko jego właściwe brzmi Błaszczyński (patrz pisma J. Piłsuds. t. III); pominięcie imienia „jednego z najbardziej zasłużonych działaczy wojskowo-niepodległościowych" (pewno więcej zasłużonego niż Birnbaum) — Bojarskiego, kiedy można było zajrzeć do księgi majora Borkiewicza o 1 pułku piechoty i stamtąd imię to wynotować, jeśli już skądinąd nie mogło się o tym „jednym z najbardziej zasłużonych" znaleźć więcej szczegółów (zbyto go 8-ma wierszami kiedy Birnbaum dostał 48!); przy Ludwiku Brzozowskim pominięto datę urodzenia i śmierci, zbywając go szczegółami, kiedy należało nadmienić, że był on zdolnym poetą-żołnierzem, a daty te wziąść z literatury Korbuta; niewiadomo co zacz Bohdan Tomaszewski — Konrad (pewno ten sam Błaszczyński). Wogóle wszelkie notatki, dotyczące powstania styczniowego, są potraktowane niżej krytyki i nie wykraczają poza pełną przeoczeń i omyłek, dawno już przestarzałą książkę Zielińskiego o bitwach i potyczkach powstańczych. Lecz najzabawniejsza historja przytrafiła się w odniesieniu do walecznego dowódcy korpusu weteranów i inwalidów z czasów Królestwa Kongresowego, płk. Ferdynanda Bogusławskiego, którego przechrzczono na Jakóba a następnie skrócono mu żywot o 10 lat. Ktoby był ciekaw dlaczego, może się dowiedzieć: oto pomyłki te zakradły się do Encyklopedji Orgelbranda, z której pełną garścią nowa „Encyklopedja", jak się okazuje, bezkrytycznie korzysta (mimo trzydziesto paro letniej różnicy wieku!), a jakiś współczesny ignorant prawie dosłownie notatkę przepisał, nie zastanawiając się nawet, że przecież dowódca korpusu weteranów i inwalidów, powstałego za czasów Królestwa, a więc po 1815 roku nie mógł być weteran armji polskiej, zmarły w 1809 r.; z tej samej przyczyny (wzoru Orgelbrandowego) zapewne stwierdzono, że gen. Ludwik Bogusławski „umarł w późnym wieku", (kiedy nie pisze się tego o wszystkich, nawet bardziej wiekowych starcach), zamiast podać rzecz o wiele cenniejszą: dokładną datę śmierci, bowiem wiadomo przecież że zmarł on 20 listopada 1840 r.

Odnośnie poetów-żołnierzy, przypomnianych wyżej z racji Brzozowskiego, wśród których posiadamy tyle pięknych talentów (wspomnimy tylko o współczesnych i nieżyjących już: Długosza, Mączkę, Czarnockiego, Zahorskiego, Szula) — zaznaczyć należy, że zignorowano ich zupełnie. Fakt z Ludwikiem Brzozowskim najlepiej świadczy, że poezję i pieśń żołnierską świadomie eliminuje się z „Encyklopedji". A czy słusznie? (z pisarzy jeden tylko Juljusz Bandrowski dostąpił zaszczytu, iż go uwzględniono). A przecież już z tych dwóch pierwszych liter można było wspomnieć o Karolu Antoniewiczu (Asnyk jest, ale nie z tytułu swych patrjotycznych utworów poetyckich), o Andrzeju Brodzińskim, no i o Kazimierzu, nie tylko poecie-żołnierzu, ale i pamiętnikarzu wojskowym, o Ryszardzie Berwińskim, a wreszcie o współczesnych Bergielu i... Biernackim (nie Kostku!), jak się dowiadujemy z cytowanego już dzieła majora Borkiewicza autorze hymnu „My pierwsza Brygada"(!)

Te same uwagi nasuwają się w odniesieniu do innych dziedzin sztuki, a przedewszystkiem malarstwa. Kto jak kto, ale bataliści tej miary jak Józef Brandt powinniby zasługiwać na wdzięczną pamięć wojska polskiego. Nasuwają się tu również i inni malarze, którym motywy wojskowe nie były obce, jak Andriolli, Ajdukiewicz, Alchimowicz, Bacciarelli.

Tyle narazie uwag ciśnie się pod pióro na marginesie owych sześciu zeszytów „Encyklopedji Wojskowej", która, nawiasem mówiąc, przestała już być „małą", jak nazywano ją z początku, a więc stała się bardziej wrażliwą na objęty materjał. Podnosząc je, kierowaliśmy się względem na dobro publikacji, która powinna mieć pełną i niewątpliwą wartość, jako dzieło o charakterze podstawowym i o stałem znaczeniu.

Do innych działów „Encyklopedji", do których zebraliśmy już sporo materjału, powrócimy niebawem. X.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Niestrudzony historyk i bibljograf literatury polskiej, Gabrjel Korbut wydał osobno końcową część swego wielkiego dzieła czterotomowego p. t. „Literatura polska". O całości dzieła znajdzie czytelnik wkrótce w „Myśli Narodowej" obszerniejszą wiadomość. W tej chwili notujemy pojawienie się tej osobnej całości: „Literatura polska popowstaniowa w okresie lat 1863 — 1914". Książka podręczna infor-

macyjną dla studjujących naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa polskiego (Warszawa 1931. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego. Str. 378 formatu *in 4-o).*

Kto zna poprzednie wydanie „Literatury polskiej" Korbuta, zakończone tomem III w r. 1921 i dawno już wyczerpane, ten wie, że autor nie wykracza poza zadanie inwentaryzacji. Tenże system i do tej części zastosowany: podział na okresy, a w każdym z nich po krótkiej charakterystyce epoki i bibljografji badań, dotyczących całego okresu i po opisie czasopiśmiennictwa współczesnego — następuje grupami wykaz autorów. Ten słownik jest główną treścią i wartością książki.

Każda pozycja zatytułowana imieniem i nazwiskiem autora składa się z trzech części: 1) krótka biografja, 2) spis chronologiczny głównych prac, 3) literatura dotycząca danego autora, doprowadzona do czasów ostatnich. Jest to więc informacja rzeczowa, pomocna do orjentowania się w zjawisku literackiem, jakiem jest pisarz w dziejach literatury. Korbut opracował w taki sposób 385 jednostek z owego 50-lecia.

Oczywiście pokolenia płyną, trudno je przeciąć na jakim roku. Korbut postawił granicę formalną swej pracy w ten sposób, że uwzględnił: 1) tych, co już zmarli, oraz 2) tych, którzy zaczęli karjerę pisarską w XIX stuleciu. Dla tego wielu pisarzy dziś znanych tu jeszcze niema, bo zaczęli pisać po r. 1900, a jeszcze żyją, natomiast są młodzi nawet, ale przedwcześnie zmarli.

Żeby takie dzieło podręczne mogło być zupełnie wyczerpującem, musiałaby nad niem pracować cała organizacja badaczy. Korbut pracował sam, stawiając sobie przytem skromne zadanie praktycznego podręcznika. Pracowitość jego, pełną zamiłowania, podziwiać można właśnie w wykończeniu ostatniego 50-lecia, tutaj bowiem torował drogi nie przetarte przez bibljografów i historyków. W kraju nie było do r. 1914 takich pomocy naukowych, jakie dziś są; całości wytwórczości pisarskiej nie można było objąć z Warszawy, odgrodzonej kordonami. Korbut dał gruntowne podstawy inwentarzowi pod historję piśmiennictwa. Bez jego dzieła w ostatnich czasach nikt z polonistów nie mógł pracować. Im kto częściej miał sposobność z niem się stykać, tem sympatyczniejsze mu się stawało, jako wierny współpracownik. O czasach najnowszych literatury mieliśmy pojęcie z charakterystyk ogólnych, zajmujących się przeważnie szczytami twórczości (jak np. „Sto lat myśli polskiej"), Korbut wprowadził nas w las osobistości i dzieł, ale daje obraz przejrzysty, w którym łatwo się orjentować, ocalił od zapomnienia mnóstwo pisarzy, uwydatnił najznakomitszych, przytaczając w sposób wyczerpujący to, co o nich pisano. Książka jego żyje, pomimo że pozornie jest tylko suchym inwentarzem.

Wielka należy się za nią wdzięczność autorowi. (W.)

*

Dzięki inicjatywie Czesława Kędzierskiego podjęto przed paroma laty wydawanie dzieł powieściowych Marjana Gawalewicza. Pomysł okazał się szczęśliwy; okazało się bowiem, iż utwory tego skromnego ale zdolnego pisarza wytrzymały próbę czasu, jako że w ujęciu i formie bynajmniej jeszcze nie trącą myszką, a w treści niejednokrotnie są bardzo aktualne. Taką aktualnością odznaczała się powieść o „Mechesach", którą rozchwytano po jej pojawieniu się powtórnem. Gawalewicz, acz przybysz z Galicji, umiał, dzięki wrodzonemu zmysłowi obserwacyjnemu, wybornie wczuwać się w atmosferę Warszawy i opisywać ją żywo i plastycznie; w obrazkach tych niewątpliwie był mu mistrzem starszy kolega redakcyjny, Bolesław Prus. Wszystkie zalety pióra Gawalewicza ujawniają się w dobrze skomponowanej powieści „Plotka", która wyszła świeżo w ponownem wydaniu (Wydawn. Polskie, Poznań). Widać z niej, jak autor znał doskonale tę „Warszawkę", lekką, płochą, plotkarską, jaka była przed laty i jaka dziś pozostała pod mało co zmienioną postacią. Piętnuje Gawalewicz rolę pism brukowych, które wprawdzie przed laty niewątpliwie stały pod względem etycznym wyżej od dzisiejszej „prasy czerwonej", nie mniej w podobny sposób budowały swą egzystencję na szerzeniu niezdrowej sensacji kryminalnej oraz na szkalowaniu ludzi, często zgoła Bogu ducha winnych. Prasie tej sekundują różne ciemne indywidua lizusów, pieczeniarzy, intrygantów, reprezentowanych w kapitalnej postaci Godziemby Grzankiewicza; ten to *homunculus* spełniając najobrzydliwsze bezeceństwa, zawsze się mieni szermierzem i uzdrowicielem moralności. Ofiarą jego plotek pada między innemi zacna rodzina Kamskich i ich niedoszły szwagier. Karząca sprawiedliwość przychodzi zapóźno w osobie starego wuja-szlagona, który jednak brzydzi się gadziną i nie karze jej tak, jakby na to zasługiwała. Plotka hula dalej bezkarnie... (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„Sonata Zimowa" (*„The Winter Sonata"*), pierwsza powieść p. Dorothy Edwards, która poprzednio już dała się poznać jako nowelistka, wyróżnia młodą powieściopisarkę w ogromnej rzeszy debiutantów na polu angielskiej beletrystyki. Prostota języka i sumienność wyobraźni zalecają ten utwór, jaknajnaturalniej opowiadający historję—niby bez akcji. Bez—bo nic się niby nie zdarzyło tej zimy w miasteczku na prowincji (walijskiej niechybnie) między owemi kilku osobami, które poznajemy w książce. Dzieje stosunków towarzyskich, życiowe, bez powieściowych powikłań — interesują właśnie dzięki skromnej prawdzie przedstawienia. Ze skupieniem odmalowała swą rzecz autorka pospolitemi, codziennemi słowy. W efekt skupienia delikatnie pomnożony został świadomym wysiłkiem nadania nowego waloru zużytym motywom opisowym przez zastosowanie techniki powtórzeń, niejako muzycznej, warjacyjnej. Słowo „sonata" w tytule, to nie pretensja literacka, lecz ściśle (w zamiarze) określenie charakteru kompozycji. W rzeczywistości, mimo sonatowego podziału całości na cztery części, technika jest raczej (jak powiedzielibyśmy) — warjacyjna. Znaleźlibyśmy w powieści repryzy i przeróbki tematów—ale gdzie np. fuga? — Traktowanie rzeczy literackiej (a zwłaszcza powieści!) sposobem muzycznym—to brzmi odstraszająco; ale autorka uniknęła oczywistego niebezpieczeństwa. Gdy powtarzają się w jej utworze elementy opisów i zimowego pejzażu (w Walji bezśnieżny!) charakterystyki gestów i myśli —„uśmiechnął się",—„choćby chciał, nie znalazłby nic do powiedzenia", „popatrzyła na niego", „bezlistne szare gałązki", „mierna, pobladła trawa", „szare", „białe", „brunatne" tony nieba i ziemi — to wszystkie te i t. p. nowinki wcielone są skrupulatnie w realistyczne, prawdomówne opowiadanie, i technika „warjacyjna" sama siebie doskonale maskuje. Zostaje świeże odczucie, że banałki wyposażone zostały potrosze w urok tajemnicy. (W.C.)

*

Pierre Mac Orlan należy niezawodnie do rzędu najciekawszych pisarzy, a to zarówno pod względem doboru tematów jak i stylu bardzo oryginalnego. Pozatem pisarza tego cechuje również zupełnie specjalna umiejętność w wytworzeniu atmosfery, dzięki której właśnie całe opowiadanie nabiera szczególnego charakteru, zwłaszcza iż samo już środowiska, jakie zazwyczaj znajduje upodobobanie autor *„Venus Internationale"* nie należą do banalnych. Mac Orlan był zresztą jednym z pierwszych francuskich powieściopisarzy, którzy po wojnie odwrócili się od trójkąta małżeńskiego, a zajęli tematami przygód i awantur, znacznie bardziej odpowiadających nowej psychologji. Obecnie zaś autor *Quai des Brumes* w ostatniej swojej książce *„Bandera"* (*Nouvelle Revue Française*) poruszył również niezmiernie ciekawy temat, a mianowicie życie hiszpańskiej Legji cudzoziemskiej. Mac Orlan dla napisania tej powieści udał się do Maroka hiszpańskiego, aby naocznie zapoznać się dokładnie z egzystencją tych wszystkich *„hros la loi"*, znajdujących w owej Legji niezgwałcone schronienie. Do rzędu takich przestępców należy właśnie Pierre Gilieth, który zabił dla popełnienia kradzieży; ta jednak niewiele mu przyniosła materjalnej korzyści. Na jego tropie natomiast znajduje się policja. Uciekając przed nią, Gilieth chroni się najpierw do Barcelony. Tam jednak wydaje swe ostatnie grosze, a wówczas zapisuje się do Legji cudzoziemskiej hiszpańskiej, a mianowicie do „bandery" czyli do jednej z kompanij tejże Legji. Za nim jednak wstępuje do niej policjant Lucas, pragnący nabycia pewności, iż Gilieth jest rzeczywiście zbrodniarzem, gdyż z wykryciem jego została połączona nagroda 50,000 frs. Dramat ten komplikuje się jeszcze bardziej przez wprowadzenie elementu kobiecego; jest nim zaś Slaoui-Marokanka, oddana zupełnie Piotrowi Gilieth, a w której kocha się policjant. Ale Piotr zostaje zabity i zginie jako bohaterski legjonista, podczas, kiedy Lucas wstąpi do tegoż... Legjonu. Jego to życie, obrazy tej specjalnej egzystencji ludzi, będących poza nawiasem prawa, pociągnęły oczywiście specjalnie imaginację Pierre Mac Orlan, będącą na wskroś *„cérébrale"*, ale nie pozbawioną i nuty pewnego liryzmu, właściwego autorowi *„Etoile Natutine"*. (J. B.)

ZE SWIATA SZTUKI

„GRAFIKA" zeszyt V-ty, czerwiec — lipiec 1931 r. Treść: F. S. „Z pracowni graficznych Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie", H. M. „Międzynarodowa Wystawa Pięknej Książki w Paryżu", Stanisława Sawicka „Zbiory Graficzne Bibljoteki Polskiej w Paryżu w Kamienicy Baryczków", T. G. „Zamierający polski prymityw", W. T. „O szkicowaniu

robót akcydensowych", T. Gronowski i Fr. Siedlecki „Wzory układów drukarskich", Kronika, Ilustracje.

Piąty zeszyt „Grafiki" bogatszy jest od poprzednich, tak pod względem treści, jak i materjału ilustracyjnego. Dały tu sobie spotkanie prace rytowników najmłodszych (Szkoła Sztuk Piękn.) z dziełami kolegów, należących już do historji. Z radością stwierdzamy, iż redakcja „Grafiki" odstąpiła tym razem od zwyczaju dawania artykułu wstępnego w nazbyt już lekkim stylu feljetonowym, jakby w obawie o narażenie czytelnika na jakikolwiek wysiłek myślowy. Poczęstowano nas tym razem strawą pożywniejszą; nie piszemy się na wszystkie poglądy autora artykułu o grafice uczniów warszawskiej szkoły, lecz trzeba przyznać, że zmuszają nas one do zastanowienia się nad omawianem zagadnieniem: nauczania grafiki w szkołach artystycznych. Natomiast zupełnie oczywiste wydają się nam ujemne skutki nieobecności w roku szkolnym 1930—31-szym prof. Skoczylasa, na stanowisku kierownika pracowni.

Materjał ilustrujący artykuł przedstawia się b. interesująco, pod względem poziomu i różnorodności.

P. H. M. zdaje sprawę z międzynarodowej wystawy książki w Paryżu. Dział Polski urządzony był i pojęty jako harmonijnie rozplanowana całość dekoracyjna wnętrza, na tle którego dopiero ukazano książkę. Wyróżniliśmy się w ten sposób z pośród 20 narodów, biorących udział w wystawie, gdyż ograniczyły się one przeważnie do umieszczenia książek w gablotach, bez żadnych ambicyj pozatem. Nie mogąc konkurować z doskonałością rzemiosła sztuki drukarskiej takich krajów, jak np. Anglja, Francja, Niemcy, Holandja, położyliśmy także duży nacisk i na pokazanie tego, co bezpośrednio ze sztuką drukarską się wiąże, a więc zdobnictwa książkowego, ilustracyj, cyklów ilustracyjnych (np. Stryjeńskiej) ekslibrysów i t. d. Dzięki temu dział polski wyróżnił się nadzwyczaj dodatnio, Jego organizatorem był J. Mortkowicz.

Pani Stanisława Sawicka, kustosz Gabinetu Rycin Uniwersytetu Warsz., kreśli dzieje powstania zbiorów graficznych w bibljotece naszej w Paryżu. Artykuły p. Sawickiej posiadają wybitne walory naukowe; tutaj autorka, zapewne przez skromność osobistą, nie wspomina, iż to właśnie ona uporządkowała ostatecznie zbiór w latach 1926—27. Dr. Sawicka podkreśla potrzebę utworzenia przy dziale polskim zbiorów również i działu współczesnej grafiki polskiej, stale i planowo uzupełnianego. Byłby on stałym i poważnym informatorem zagranicy o stanie sztuki czarno-białej u nas.

T. G. pisze o prymitywach miejskich, to znaczy szyldach domorosłych malarzy i wywieszkach. Szkoda, iż nie zaznaczono, czy materjał ilustracyjny zebrano z Warszawy. czy z też prowincji. Niepotrzebną mi się wydaje dwoistość tytułów; artykuł nazywa: zanikający „miejski prymityw", a w spisie rzeczy — zamierający polski prymityw. Nawiasem mówiąc, ten polski prymityw—to szyld przeważnie żydowski.

W kronice znajdujemy sprawozdanie Zarządu Związku Polskich Art.-Grafików za lata 1929—31 r. Mowa tu, między innemi, o ofiarowaniu 60 prac Członków Związku Muzeum Brytyjskiemu w Londynie. Niestety, nie podano nawet nazwisk autorów prac wysłanych, a przecież wysoce nieobojętne jest, przez kogo to mianowicie reprezentuje się współczesną polską grafikę w Muzeum o wszechświatowej sławie i znaczeniu.

*

Następny numer „Myśli" przyniesie: sprawozdanie z wystawy grafiki reklamowej Związku Słuchaczy Architektury, wspomnienie pośmiertne o Piusie Welońskim, wiadomości o wystawie ku uczczeniu zasług i działalności wydawniczej b. p. J. Mortkowicza i recenzję z ostatniego, niezwykle bogatego zeszytu „Sztuk Pięknych".

W. P.

OFENSYWA

MARJANNA A SANATOR

NA ZACHODZIE dużo nowego a nie bardzo przyjemnego. Mamy tu na myśli teraz głównie teren paryski. Tamtejsi korespondenci pism polskich jakby zaniemówili. Chyba może strajkują, z powodu: obniżka? Dość, że nic a nic. Dość, że coraz bardziej jesteśmy odcięci od Zachodu. Jest metoda, jest metoda w tem szaleństwie...

Ale skoro nie piszą korespondenci, to trzeba ich zastąpić tu na miejscu, „nigdzie nie wyjeżdżając" (VI rok ery sanacyjnej). Zrobimy sobie takie *resumé*, takie pokłosie prasowe najpierw tylko z ostatnich czasów, z ostatniego roku a potem z całych lat jedenastu, ściślej z ostatnich lat sześciu, aby nabrać wyobrażenia o nastawieniu w stosunku do nas (z VI roku ery sanacyjnej) opinji publicznej w stolicy sojuszniczego i zaprzyjaźnionego narodu i państwa. To, co będziemy się starali wykazać jako wniosek ostateczny, będzie czemś w najwyższym stopniu niespodziewanem i paradoksalnem, a jednak opartem niestety na materjale ściśle rzeczowym. Mianowicie: Polska z r. 1931 to jest Polska sanacyjna jest dziś w Paryżu najniepopularniejszym bodaj narodem ze wszystkich narodów europejskich.

Spokojnie, *sine ira* trzeba to stwierdzić, a potem tylko zastanowić się nad tem, jak będzie można wyjść z tej bądź co bądź przedziwnej sytuacji, jaką po pięciu latach zawdzięczamy t. zw. Elicie, elicie nawiasowo mówiąc „narodu idjotów", a więc już tem samem rasowo i dziedzicznie cokolwiek obciążonej.

Bierzemy więc pod uwagę narazie tylko odcinek roku 1931.

W lipcowym zeszycie (nr. 214) „*La Nouvelle Revue Française*" w zbiorze aforyzmów Pawła Leautand, aforyzm o Polakach (VI-tego roku ery sanacyjnej) taką zawierał opinję:

> „Polacy—rasa obrzydliwa. Moralny portret tego kraju znajduje się już w Monteskjuszu. Nie zmienił się od tego czasu na jotę... Dawny stan rzeczy był lepszy: Niech każdy z sąsiadów ma pod sobą część tego narodu,—wtedy możnaby trzymać polaków w spokoju".

Czy p. Paweł Leautand jest tam nad Sekwaną unikatem, czy jest odosobniony ze swojemi poglądami, czy za ten wypad został zwymyślany, miał nieprzyjemności? Nie. Z jakiego powodu nie? Z tego, że Polacy od r. 1926 powoli, ale na szeroką skalę stali się istotnie najniepopularniejszym narodem w stolicy Francji. 9-go Października *meeting* w samem centrum, w lokalu i salach „*Hotel de Sociétes Savantes*" i kilkunastu mówców kolejno obsypuje „Polskę brzeską" najostatniejszemi obelgami. Czy kto się ujmuje w prasie za nami? Nikt. Natomiast szereg pism i to nie tylko „*L'Humanité*" i „*Populaire*" ale „*Volonté*", „*Republique*", „*L'Oeuvre*", „*Ere Nouvelle*" drukują łokciowe sprawozdania.

3-ciego Września w Berlinie nowy ambasador francuski zaprasza na pierwszą *conférence* prasową cały zespół zagranicznej prasy. Naszych korespondentów jest w Berlinie 12-tu. Pan François Poncet zaprasza korespondentów nawet mniejszościowej prasy; są nadto: turcy, syjoniści, katalończycy, bisurmanie, grenlandczycy. Polakom wyraźny afront, więc „nasi" protestują przeciw afrontowi. Prasa paryska protest przemilcza, afront zaznacza i uwypukla, a równocześnie publikuje się tam „apel do świata", „Komitetu Międzynarodowego dla obrony więźniów w Polsce". Apel zamieszcza kilkanaście dziennikówparyskich, z komentarzami lub bez, a trzeba wiedzieć, że jest to już trzecia w tym roku odezwa przeciw „białemu terrorowi w Polsce". I tak, co ruszyć, gdzie ruszyć, wszędzie przeciw t a k i e j Polsce kampanja, gdy dla innych cudzoziemców szeroko rozwarte ramiona, a dla Niemców wylewna serdeczność. Demonstracyjnie szykanowano tych, co oferowali kioski i towary na Wystawę Kolonialną, demonstracyjny sabotaż polskich przemysłowców na targach w mieście, gdzie przyjaciel E Herriot jest panem merem. A wszędzie niemieckie piwo, „*Man spricht deutsch*" w sklepach i wszędzie *chansons* i kuplety wiedeńskie (*Wenn die Elizabeth ins Bett geht*) i stałe *staggnione* opery rosyjskiej i owacyjne bankiety dla literatów niemieckich (Herr Ludwig, Keyserling, Mann, Sieburg) i rosnące zamiłowanie beletrystyki sowieckiej i sowieckich filmów. Polaków jakby nie było, jakby: niema. Nietylko czerwoni, *radicaux* i ludzie z „*Humanité*" lub z „*Populaire*'a", nie tylko żydzi: Torres, Blum, Rosenfed, Kayser. Nie pocieszajmy się tem i nie oblagowujmy. W Sali Wagram na masowym *meeting*'u przeciw Polsce sanatorskiej, przemawiali nie tylko Malvy i Pioch i Bajet, ale także ksiądz Violat. Za rewizją granic naszych wypowiedział się także *abbé* Bergey ze skrajnej prawicy. Tak, jak dziś rzeczy stoją, przeciw Polsce I-wszej Brygady jest cała literatura francuska bez reszty już obecnie, omal bez jednego wyjątku. cały świat

intelektualny; świat Akademji i Sorbony oraz świat parlamentu i senatu. W *„Revue Parlementaire“* (istnieje 27 lat) naczelny redaktor H. de Chambron w numerze z 15 lutego całkiem swobodnie domagał się zwężenia wszystkich naszych granic do wymiaru ściśle etnograficznego. Z książki profesora Sorbony, René Martela zagorzałego litwomana, domagającego się okrojenia naszych kresów wschodnich, zdawała sprawę objektywnie i mniej lub więcej przychylnie cała prasa, ostatnio entuzjastycznie Rivire w *„Monde“*. Z broszury berlińskiego korespondenta *„Volonté“* Cezara Santorio: „W Polsce podczas wyborów“, dawała referaty i notatki większa część prasy francuskiej jak również i broszury zbiorowej ukraińskiej, po francusku wydanej: *„La Russie, Ukraine et la Pologne“*. Z grubo nieprzychylnemi dla nas (VI rok I-wszej Brygady) komentarzami, zamieszczała prasa referaty z książek czcigodnego prof. Barthelemy *„La Crise de la Démocratie Contemporaine“*, z sensacyjnej książki Malepartego, w której centralna postać potraktowana jest z takim samym sceptycyzmem, jak i w książce hr. Carlo Sforzy („ostatni Wołodyjowski“) bardzo w liberalnych kołach francuskich popularnej Znakomity feljetonista polityczny Berard swoim wizerunkiem naszego genjusza także nie przyczynił się do popularności Polaków, w takim kulcie pogrążonych.

Bardzo surowo po wyborach listopadowych, Brześciu, pacyfikacji i t. p. odnieśli się do nas René Pinon zmarły niedawno Gauvain, William Martin, Muret, jak wiadomo nie żadni tam radykali. Również w konserwatywnym dziś *„Mercure de France“* (793) przy omawianiu książki Natkiewiczusa (*„Aspects politiques et juridiques des differences polono-lithuaniennes“*) gwałtownie przeciw nam wystąpił E. Duchemin, dając przytem ignorancką statystykę wileńszczyzny (46% Litwinów, 12% Polaków).

Jeżeli teraz weźmiemy inne pisma burżuazyjne, nie tendencyjnie zasadniczo nam nieprzychylne, jak np. *„Excelsior“*, *„L'Avenir“*, nawet *„La France Militaire“* to i te jednakże „objektywność“ wobec sojuszniczego państwa doprowadziły do tego, że od roku (VI-ty rok I-szej Brygady) stale dają niby tylko wywiady z ważnemi osobistościami politycznemi Niemiec, generałami, Treviranusami, Stahlhelmowcami, odwetowcami, wywiady przeważnie bez komentarzy, w których Niemcy całkiem szczerze i prosto odradzają sojusz z Polską, a doradzają rewizję granic i rozbiory. I nawet *„La France Militaire“* to drukuje.

Bronią systematycznie sojuszu, a w każdym razie szczerze i konsekwentnie zwalczają i odrzucają *a limine* wszystkie zakusy i pretensje niemieckie *„Action“*, *„Ami du Peuple“* i *„Figaro“*, gdzie czyta się już coprawda takie zdania, jak „gdybyśmy opuścili Polskę, byłoby to cięższym błędem, niż błąd Napoleona III, który pozwolił na pobicie Austrji pod Sadową“, ale w tem samem piśmie równocześnie, w roku 1931, zabierają głos czasem z emigracji rosyjskiej, ex-dygnitarze, mocno „polskiemu imperjalizmowi“ nieżyczliwi.

Nie mówimy tu już o takim *„Populaire“*, gdzie naprzemian, ex-mieńszewik Rosenfeld lub bardzo zresztą czytany w Paryżu L. Blum „napadają“ na Polskę w imię ideałów II-giej Międzynarodówki. Pomijamy chronicznie antypolskie *„L'Ordre“* Burégo lub *„L'Oeuvre“* lewicowego adwokata Torresa, który 28 Stycznia zamieścił mocno w prasie omawiane: *„La Maladie de la Dictature et la Pologne“*. Pomijamy bolszewizujący *„Monde“*, gdzie specjalistą w atakowaniu nas jest p. G. Aubert. Pomijamy tygodnik *„Ere Nouvelle“*, gdzie za rewizję polskich granic pisał Lefoyer. Pomijamy *„Bulletin Qnotidien“*, gdzie się czytało, że „Polska Piłsudskiego gotowa jest zrzec się korytarza za wolną rękę na Ukrainie“. Zwracamy atoli uwagę na *„L'Intransigeant“*, bijący do miljona egzemplarzy, który teraz jego właściciel p. Bailly sprzedała za 45 milj. L. Dreyfussowi, a którego redakcję objął senator Henri de Jouvenel, kilkakrotnie za oddaniem *„corridoré“* Niemcom się wypowiadający. Zwracamy dalej uwagę na zaciekle progermańską *„Volonte“*, gdzie tak groźnie przeciw nam wystąpił w tym roku Albert Dauriat, a gdzie Romain Rolland wyraźnie pisał: „Trzeba odważnie podjąć sprawę rewizji traktatów“. Zwracamy uwagę na dawniej nam przyjazne *„Le Petit Bleu“*, które w styczniu pisało: „odbudowa państwa polskiego jest owocem mistycyzmu ale dziś nie pora już dociekać, czy odbudowa ta była dobrą czy złą“. Zwracamy dalej uwagę na *„La Republique“*, dziennik świeżo sanowany finansowo przez bankiera André Germaina, organ radykałów umiarkowanych, wśród których obok dawnych naszych przyjaciół E. Herriota i Pierre Dominique obecnie na pierwsze miejsca wysunęli się Jacques Keyser (siostrzeniec słynnego Dreyfusa) oraz mecenas Pierre Cot, od Brześcia, pacyfikacji i wyborów listopadowych raz po raz fanatycznie przeciw „imperjalizmowi“ faszystowskiej Polski występujący.

Nie należy też bagatelizować nawet takich wystąpień tegorocznych, jak mającego jeszcze swoje grupy zwolenników G. Hervégo. Nie należy też bagatelizować takich objawów, jak to, że nie tylko Clement Vautel, ale cały szereg weselszych feljetonistów bulwarowych pism paryskich od jakiegoś czasu stale kole nas złośliwemi szpilkami.

A młodzież? Młodzież ma od roku swój organ protegowany przez Quai d'Orsay *„Notre Temps“*, prowadzony przez młodego Jean Louchaire'a i ten to *„Notre Temps“* 19 stycznia zamieścił słynną odezwę za zbliżeniem się do Niemiec, przez 120 intelektualistów podpisany. *„Notre Temps“* zainicjował częste zjazdy młodzieży niemieckiej i francuskiej. Przewódcą tej młodzieży Lamosir w innem piśmie *„Plans“* wypowiedział się też przeciw faszyzmowi i imperjalizmowi polskiemu. Reklamowany zaś przez „Pamiętnik Warszawski“ Drieu la Roshelle, zastanawiając się w ostatniej książce nad nadchodzącą wojną w związku z sojuszem z Polską ostatni rozdział książki zakończył słowami: nie pójdziemy!!

Jak widzimy z tego krótkiego i pobieżnego szkicu, pokłosie negatywnych odnoszeń się i ustosunkowań do Polski Elitowej zebrało się tylko z tego roku i tu w Warszawie przygodnie skolekcjonowało wcale potężne, uzupełnić je nie tyleny mogli ile p o w i n n i pp. Ehrenberg, Smogorzewski, Korab-Kucharski, Aubac i inni, których zadaniem aktualnem byłoby wykazanie nam do jakich to rozmiarów doszło tam nad Sekwaną przeświadczenie, w opinji publicznej kulminujące w zdaniu, że „nacjonalizm germański w tym stopniu zagraża Francji w jakim Francja popiera imperjalizm Polski“.

W ostatnim roku po wyborach listopadowych, Brześciu, pacyfikacjach i t. p. temperatura przyjaźni sojuszniczej opadła niżej zera. Przyjaciół tam mamy już bardzo ospałych, małomównych i przemęczonych, zaś antagonistów ruchliwych, namiętnych i zaciętych. Po każdej Genewie i po każdym „sukcesie“ naszej Elity, zewnętrznym lub wewnętrznym, liczba ich zastraszająco rośnie, a ignorowanie, idjonsynkrazja, bagatelizacja, traktowanie jako *„negligeables“* w coraz szersze kręgi się wdziera.

I jeżeli teraz pewien komornik z kordegardy organu komorników i pułkowników, piszący swe ordynarne „niedyskrecje“, suggeruje czytelnikom „Gazety Polskiej“, że to tylko autor „Garsonki“. Margueritte przeciwko nam występuje i kilku drugorzędnych satelitów „literackich“, to jest, najdelikatniej mówiąc: w błędzie. W pokłosiu, z jednego roku, wykazaliśmy, ile to Brzeska Polska straciła kredytu moralnego w stolicy sojuszników i jak się wobec tego złowrogo i złowróżbnie przyszłość zapowiada. Przypomnijmy sobie tylko jeszcze, jak znikomą siłą była w Paryżu w r. 1914-tym garstka antagonistów caratu, a jak to mózg Paryża odnosi się do nas teraz w r. 1931. Jest się nad czem zastanowić.

Maksyma starorzymska: *oderint dum metuant* zastosowywana i do sojuszników jest kretynizmem. Zdaje się zaś, że w móżdżkach komorników z Elity ta maksyma praktykowana względem swoich z dużym sukcesem, zaczyna być stosowaną i do całego globu.

Wzięliśmy tu pod uwagę upadek naszego kredytu moralnego i politycznego w opinji francuskiej tylko na odcinku ostatniego roku.

Należy sprezentować jeszcze, jak to się przedstawia na przestrzeni lat pięciu, to jest całej obecnej ery sanacyjnej.

I dopiero po sprezentowaniu takiego materjału będziemy w możności sformułować odpowiedź na jedno nastręczające się pytanie: czemu to np. A. Briand był z wizytą w Berlinie, a z jakich to powodów dotychczas nie był... w Warszawie.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W kołach sanacyjnych postanowiono podobno wydawać „Bibljoteczkę radosnej twórczości“. Redaktorem ma być Miedziński. Na początek zgłoszono prace następujące.

Katajama (pseud.) Co robić z Polską wogóle?
Zaleski. Apatja, jako podstawa ustępliwości i pokoju.
Beck. Czy Francja zna się na ludziach i na polityce?
Świtalski i Raczkiewicz. O skutecznym rad sposobie.
Michałowski. Poczucie prawa i uczciwość.
Car. Regulamin parlamentu francuskiego.
Boerner. Automatyzm w rozbudowie państwa na kredyt.
Miedziński. Liczniki i niedolizniki.
Jan Piłsudski. Nauka skarbowości w dóbkę (24 godz.).
Loret. Nie było nas, był las.
Kostek, Sadyzm jako wyraz żądzy twórczej.
Sieroszewski. O generale, który zbiegł na tamten świat przez stratosferę. Opowiadanie.

*

Senator Borah w rozmowie z posłem Filipowiczem nadmienił podobno, że dla równowagi europejskiej będzie lepiej, jeśli jemu, Borahowi, pomnik postawią Niemcy. Była to delikatna aluzja do pomnika pułk. House'a.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.